

Oraczewski

ZABAWY,

CZYLI

ŻYCIE BEZ CELU;

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.



W WARSZAWIE 1780.

Nakładem y drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

OSOBY.



STAROSTA.
STAROŚCINA.
TERESA, corka Starościny.
CZEŚNIKOWA, przyiaciołka mniemana Starosty.
PUŁKOWNIKOWICZ, kuzyn Cześnikowy, konkurent.
RĘWIZOROWICZ. } Przyiaciele Cześnikowy, y Pułkownikowicza.
LUSTRATOROWICZ. } Przyiaciele Cześnikowy, y Pułkownikowicza.
SUBDELEGATOWICZ. } Przyiaciele Cześnikowy, y Pułkownikowicza.
ZACNIEWSKI, przyiaciel domowy Starosty.
LUIZA, służąca Starościny.
MICHAŁ, służący Starosty.
LORENS, lokay.





AKT I.

SCENA I.

Teatrum reprezentuie pokoy Starościny.

STAROSTA, CZESNIKOWA, SUBDELEGATOWICZ, REWIZOROWICZ, PUŁKOWNIKOWICZ y LUSTRATOROWICZ.

STAROSTA.

Jakże te godziny między obiadem y komedyą są nudne! nie wiedzieć co robić.

CZEŚNIKOWA.

Ale iak nudne! chłopcy, bawcie mnie, Panie kuzynie Pułkownikowiczu, ty czasem bywasz śmieszny; powiedz co wesołego. Wiesz, że to iest dom, w ktorym trze-



ba, żebyś się podobał; dziś myślę dotrzeć twego interesu.

STAROSTA.

Ma on też swoie zgryzoty; nie prawda, Pułkownikowiczu?

PUŁKOWNIKOWICZ.

Nie, y owszem miałbym więcey przyczyn być kontent: wszyscy dziś w Saskim ogrodzie admirowali moie sprzączki, nikt większych nie miał; co to za tryumf miły dla człowieka maiącego gust! wielka szkoda, że mnie Starościanka nie widziała ieszcze.

LUSTRATOROWICZ.

Stolnikowna uważała, żeś WM. WM. Pan trochę kulał; musiały cię trzewiki ściskać.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Mnieysza o Stolnikowne.

REWIZOROWICZ.

Właśnie też lada parafianka może sądzić o guście człowieka, ktory woiażował; za granicą się to ludzie formuią: trzeba czasem



przycierpieć y kulać, byle pokazać, że człowiek nie darmo swoy czas strawił w cudzych kraiach. Taniec, fryzura, sprzączki, kapelusze modne, toć to iest cel woiażowania człowieka dobrze wychowanego.

CZEŚNIKOWA.

Jużci wy chłopcy modne, ale nie wygodne; mało z was pożytku do zabawy: żebym przynaymniey mogła zebrać partyą do trysety.

Wszyscy razem.

Dobrze, Mościa Dobrodziko.

CZEŚNIKOWA.

Ale czy umiecie przegrać?

REWIZOROWICZ.

Jak los padnie.

CZEŚNIKOWA.

A zapłacić?

LUSTRATOROWICZ.

Jeymość Dobrodzika nieoszacowana w żartach.



CZEŚNIKOWA.

Starosto! każ dać karty; kiedym się iuż w tę stronę miasta zapędzili, nie chcę do siebie powracać, tu się będę bawić: może też Starościna skończy swoie nudne zatrudnienie z Teresą, to nas więcey będzie, y ułożemy iaki proiekt, czym się bawić.

STAROSTA.

Naylepiey nic nie układać, co przyidzie do głowy, to zrobiemy, byle się bawić. *Ziewa.*

Wszyscy razem.

Bravo, oto rada dobra! bawić się, to grunt.

SUBDELEGATOWICZ.

Nic smutnieyszego, iak zakładać sobie iaki cel życia; Vivat wolność.

CZEŚNIKOWA.

To mi to ludzie! można mowić, że teraz młodzież uformowana; iuż tey staroświedczyzny nie widać, co to wszystko kazali się młodym chłopcom mozolić, żeby byli zdatni dla kraiu; niech się z kraiem dzieie, co chce, byle się bawić.



SUBDELEGATOWICZ.

Oyciec moy chciał koniecznie, żebym ia się uczył prawa: na co mnie prawo! czyż można z damami o prawie mowić? właśniebym ia wskorał, żebym z Ładowskim wyiechał na plac u Podczaszanki.

PUŁKOWNIKOWICZ.

A mego oyca staranie całe było, żebym ia był gospodarzem; kazał mi się w domowe interesa wdawać, zachwalał mi spokoyność rolniczego życia: ślicznieby mnie był wystawił, gdyby nie matka moia, ktora była dworka, y wersatka; przedała w niebytności tatula kilka set wołow, mnie pieniążki dała na woiaż, y przeiechałem się walnie, zawsze poczta dniem y nocą, nie oparłem się aż w Paryżu, zkąd właśnie te sprzączki wywiozłem, bo tam dostanie rożnych towarow: iaki tam ratusz piękny! cały murowany.

LUSTRATOROWICZ.

Co ia, to z moim oycem na funkcyi byłem 1775. roku, aplikowałem się ze wszystkich sił, w iego ślady wstępowałem, w dobrym czasie był Lustratorem, po Jezuitach;



umiał korzyſtać z okoliczności, to też przecię ieſt dziś za co bawić ſię w Warſzawie.

REWIZOROWICZ.

Mnie ſię udało, że oyciec moy umarł, właśnie w ten czas, kiedy uzbierał ſumkę, y chciał dać na dobra: matka moia inſzych była ſentymentow, y lepiey ſię oboie bawiemy, poki ſtanie.

CZEŚNIKOWA.

Walne chłopcy! ſiądźmy do tryſety, albo iuż daymy pokoy, oddam ieſzcze z kilka wizyt, *(do Staroſty)*. Staroſto, czy chceſz ze mną iechać? bo ta twoia nudna żona, nie prędko zapewne ieſzcze ſkończy ſwoie kłopoty; WaćPan umieſz żyć, rozumiem, że kiedy ci dama proponuie, żebyś ią akompaniował, to nie odmowiſz: powinno cię to atandryzować.

STAROSTA.

Jak ſię Pani podoba; coż mam czynić? trzeba być *du bon ton;* hola!



SCENA II.

MICHAŁ *Kamerdyner, y dawni.*

STAROSTA *do ludzi.*

Czy ieſt kareta?

MICHAŁ.

Jeſt zaprzężona, od rana aż do wieczora.

STAROSTA.

Powiedzże tu moiey żonie, że wyiechałem oddać kilka wizyt, powrocę w krotce; a ta młodzież, czy poiedzie z nami?

CZEŚNIKOWA.

Tak ſię ſpodziewam; chłopcy! kupą za mną, będziemy ſię lepiey bawić.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Ja muſzę ieſzcze iechać do Saſkiego ogrodu, bo tam dopiero cztery razy dziś byłem.

LUSTRATOROWICZ.

Niemaſz tam nikogo, lepiey iedźmy do Uiazdowſkiey ulicy na raki.



CZEŚNIKOWA.

To mi to człowiek, co przecie ſobie umie iakiś cel życia założyć! bravo na raki, to poſilnieyſze iak wizyty.

Wſzyſcy razem.

Na raki, na raki, na raki.

REWIZOROWICZ.

Ale w Saſkim ogrodzie dziś lody walne, porzyczkowe.

STAROSTA.

To ieſt znowu nowa trudność; iak to życie ludzkie zawſze ieſt podległe odmianie! *Tu razem wſzyſcy, iedni na lody, drudzy na raki wołaią.*

SUBDELEGATOWICZ.

Proſzę o głos, kiedy nie maſz powſzechney zgody, w tak walnym intereſie, otoż ia poradzę: mamy po pięć palcow u ręki, rachuymy; co wypadnie, tego ſię chwycić.

CZEŚNIKOWA.

Mądrze mowi; ia będę zaczynała naypierwey, na raki, na lody, na raki, na lody, na raki.



Wſzyſcy.

Bravo, bravo, na raki, na raki. *Odchodzą.*

SCENA III.

MICHAŁ *ſam zamyślony, ſiada na krześle y mruczy.*

MICHAŁ.

Na raki, na lody, na raki.

Co to daley z tego będzie, nie wiem; nie dawno ieſtem w tym domu, ale nie mogę pomiarkować, co my za życie prowadziemy: miałem przedtym Pana, ktoremu naymiley było zamknąć ſię w ſwoim pokoiu, nie wiem po co, ale płacił ludziom dobrze, nie miał napaści od dłużnikow, miał wielu przyiacioł, w zgodzie żył z żoną, dzieci miał grzeczne y dobre, y umarł ſpokoynie. Doſłużyłem mu do śmierci, żal mi go, teraz ſię tu doſtałem, zawſze hucznо, zawſze ſzukamy czegoś, mało Pan w domu zabawi, mało ſię z Panią y z corką widzi, Pani Cześnikowa wſzyſtkim rządzi, pełno młodzieży, ktora nie wiem, czego chce? czego nie chce? biegaią, lataią, gonią coś, y nie mogą dogonić: co to z te-



go daley będzie? nie wiem: ludzie mruczą, woźnicy przeszłey zimy umarzło ucho, bo całą noc stał na mrozie w kapeluszu; lokaie narzekaią, że iuż od kilku miesięcy nie płatni; rzemieślnicy toż samo: iak to można weselić się, a ludzi krzywdzić? ale coż mi to za wesołość? zawsze im czegoś niedostaie. Co to będzie za koniec tego życia? naostatek, iużci to musi być dobrze, boć to przecie Pan, to musi mieć rozum.

SCENA IV.

LUIZA, MICHAŁ *drzymie.*

LUIZA *patrzy na drzymaiącego.*

Biedny Pan Michał! śpi, a nie wie, co go czeka, w piękne się ręce dostał! będzie on kontent; a iakiś dobry człowiek, nie wiem czy też zabawny?

MICHAŁ *się porywa ze snu.*

Kłaniam się uniżenie, Jeymość Pannie Luizie.

LUIZA *z miną zkomponowaną.*

Nayniższa Pana Michała? Jegomość iest? musi go nie być, bo WM. WM. Pan widzę zasypiasz.



MICHAŁ.

Ey coż robić! w nocy się mało sypia, we dnie trzeba za pańskiemi interesami biegać, odpychać od drzwi kupcow, rzemieślnikow, ktorzy się przykrzą o pieniądze, to nie dziw, że sen weźmie; teraz przecie Jegomość odiechał, to mam czas wolny.

LUIZA.

U moiey Pani spokoynieysze życie; całe iey zatrudnienie iest uszczęśliwienie corki, radaby ią wydać dobrze za mąż, ale gdzież to tych dobrych mężow szukać?

MICHAŁ.

Znam ia bardzo dobrego człowieka; żył w przyiaźni z nieboszczykiem moim Panem, radby się także żenić, ale nie raz też mowi: gdzie to tę dobrą żonę znaleść? Jeden tylko ma defekt, że nie ma żadnego urzędu, kupić też żadnego nie chce, bo powiada: że poczciwy człowiek powinien zasłużyć, nie kupować, y że tylko ci kupuią, co nie chcą zasłużyć.

LUIZA.

Ale iak się zowie ten Jegomość?



MICHAŁ.

Pan Zacniewſki.

LUIZA.

Pan Zacniewſki? a znamy go; bywa tu u Jeymości, ale rzadko, bo iak Jegomość przyidzie z temi trzpiotami, iak wezmą ſię kręcić, baiać, to on zaraz odchodzi, ile, że ſię Jegomości przywidziało, że ten Pułkownikowicz będzie mężem Panny Tereſy; ma mieć rodzicow bogatych, ale niech Bog broni takiego męża dla tey Panny.

MICHAŁ.

Nie znam ieſzcze bardzo Panny, ale co ten Jegomość, to mi ſię nie podoba; wſzyſcy ci, ktorych tu widzę, maią minę ludzi, ktorzy nie wiedzą, na co ſię porodzili, dla tego tylko wſtaią z rana, żeby w wieczor poſzli ſpać, a wſzyſtko mowią, że ſię bawią.

LUIZA.

Widzi to moia Pani, ale coż ma czynić? nayczęściey też w ſwoim pokoiu ſiedzi z Panną Tereſą; ta ſpołeczność całe im nie do ſmaku: oto kiedy Pan Zacniewſki u nich bawi, to bardzo lubią.



MICHAŁ.

A WM. WM. Panna, co też robiſz przez ten czas?

LUIZA.

Ja ſiedzę y ſzyię, czaſem ſię też bawię.

MICHAŁ.

A nie tęſkno WaćPannie ſamey? bo co mnie to tęſkno.

LUIZA.

Y mnie czaſem tęſkno.

MICHAŁ.

A gdybyśmy te dwie tęſknice złączyli do kupy, możeby to było wygodniey?

LUIZA.

Może....

MICHAŁ.

Ale WaćPanna maſz iuż może kogo, co ſwoię tęſknicę z iey tęſknicą złączył.

LUIZA.

Nie mam.



MICHAŁ *biorąc ią za rękę.*

Eyże Panienko! nie ſzczerze mowiſz; te oczki figluią.

LUIZA.

Szczerze. — Ale ktoś idzie. — Wrocę ſię do moiey Pani, powiem, że Jegomości nie ma, bom ſię zagadała z WM. WM. Panem, y zapomniałam, że mnie tu po to przyſłali.

SCENA V.

MICHAŁ y ZACNIEWSKI.

ZACNIEWSKI.

Jak ſię maſz, Panie Michale? państwo ſą?

MICHAŁ.

Jegomości nie maſz. Poiechał ſię bawić.

ZACNIEWSKI.

A podobno prędzey nudzić: a Jeymość ieſt?

MICHAŁ.

Była tu dopiero pokoiowa, powiedziała, że ieſt; zaczęliśmy ſię iuż doſyć dobrze rozmawiać, ale Pan przeſzkodził do reſzty.

ZACNIE-



ZACNIEWSKI.

Bardzo cię żałuię, moy Michale.

MICHAŁ.

Była też y o Panu mowa.

ZACNIEWSKI.

Coż przecie? —

MICHAŁ.

Nie źle; Luizá mowi: że ſię naſza Jeymość, y naſza Panna Tereſa, wcale na Pana nie gniewa.

ZACNIEWSKI.

Nie dałem im przyczyny; iak matkę wiele poważam, tak y corkę radbym widzieć ſzczęśliwą, bo prawdziwie tego warta.

MICHAŁ.

Jam też com wiedział, tom powiedział, y zapewne to Luiza powie ſwoiey Pani: czyby wytrzymała pokoiowa, żeby ſwoiey Pani nie miała powiedzieć wſzyſtko, co ſłyſzy przez dzień?



ZACNIEWSKI.

Jeżeliś, moy Michale, dobrze o mnie mowił; to ci wdzięczen ieſtem.

MICHAŁ.

Powiedziałem wſzyſtko, co wiem dobrego o Panu, ale też y to, co wiem złego, nie zamilczałem.

ZACNIEWSKI.

Nie wątpie, że mam wiele w ſobie ułomności, y nie dziwuię ſię, że ie znaſz; boś mnie tak częſto widywał u ſwego przeſzłego Pana: był to ieden z moich nayſzczerſzych przyiacioł, przeſtrzegał mnie zawſze, gdy widział co błędnego. Powiedz mi ſzczerze, coż przecie złego we mnie widziſz?

MICHAŁ.

O moy Pan nieboſzczyk nigdy tego nie widział, ale co ia, to ſłyſzałem od wielu innych, co Panu dobrze życzą.

ZACNIEWSKI.

Ale coż przecie? powiedz, to ſię poprawię.



MICHAŁ.

Otoż powiem, że WM. WM. Pan maſz bliſko trzydzieſtu lat, żyieſz zawſze między urzędnikami, a żadnego urzędu nie maſz; wielu to krytykuią.

ZACNIEWSKI.

O! moy kochany Michale! radbym, żebyś mi całe życie nic gorſzego nie miał do wymowienia: uſpokoy ſię nad tym, że w moich oczach naypięknieyſzy tytuł ieſt, być poczciwym człowiekiem.

MICHAŁ.

To ſię też WM. Pan w ten ſpoſob niczego nie doczekaſz, a choćby dla poſtanowienia, to przecie tego potrzeba; ktoż wie! czyby WM. WM. Panu Starościankę dali? a do tego, iak to muſi być miło, na pierwſzym mieyſcu u ſtołu ſiedzieć, pierwſzy kielich za WM. WM. Pana zdrowie: ſetny ledwo wie, iakiemi ſpoſobami kto ſtał ſię urzędnikiem, a w parafii zaraz ſię pięknie kłaniaią, xiądz zaraz wychodzi ze mſzą; a dla poczciwości, ktoż co robi? czaſem y ſzklanki wody nikt nie poda u ſtołu.



ZACNIEWSKI.

Nie łam ſobie głowy, moy kochany Michale, nie namowiſz mnie; ale dowiedz ſię, czy można iść do Jeymości? czy przyimuie? ieżeli nie zatrudniona?

MICHAŁ.

Dobrze; ale pozwolże WaćPan, żebym go Stolnikiewiczem nazwał dla mego honoru.

ZACNIEWSKI.

Nie, moy Michale; żebym wiedział, że Pani Starościna tych tytułow, ktorych ia nie mam potrzebuie: tobym ſię tu więcey nie wracał; znam ia tę Panią dobrze, nazwiy mnie tak, iak mnie zawſze zowieſz, nie wſtydzę ſię za moie imie, ani za moie czyny. — Lepiey, że ſię dziwuieſz, za co nie mam urzędu, iak gdybyś ſię dziwował, za co go mam?

MICHAŁ.

Coż mam czynić? idę: kiedy Pan taki uparty, ale Pani przyzwyczaiona do Pułkownikowiczow, Luſtratorowiczow y innych urzędnikow, to ia nie wiem, iak ſię iey będzie proſte ſzlachectwo wydawać, ile, ieżeli na konkurenta; co ia tam mam uważać! niech ſię gniewa, ieżeli chce, ia poſtaremu powiem, że Stolnikiewicz.



SCENA VI.

ZACNIEWSKI *ſam.*

Dobry człowiek, a ma widzę te ſame dziwactwa, co wielu innych; koniecznie mnie chce zrobić urzędnikiem, choć żadnym nie ieſtem: ale nie dziwuię ſię; bo nawet przeieżdżaiąc przez okopy, pytali mnie ſię ſtrażnicy, kto ieſtem? powiedziałem, iak ſię zowię. To nie doſyć było, koniecznie chcieli, żebym im powiedział godność; zaklinałem ſię, że nie mam żadney inney, tylko moie imie, y z podziwieniem odemnie odſtąpili; w kalendarzykach nawet y dyaryuſzach, choć oświeceni ludzie, a urzędy daią takim, co ich nie maią; iak ſię dziwować gminowi? ale nie widać Michała; może Starościna nie przyimuie: nigdy tak długo na iey rozkazy nie czekałem; wyznaię, że każda trudność w widzeniu Tereſy ieſt mi dotkliwa; nazbyt ſię przyzwyczaiłem do iey wdziękow, y do iey przy-



miotow; nie wiem, czyby nie czas uymować ſobie tey rozkoſzy.

SCENA VII.

MICHAŁ, y ZACNIEWSKI.

MICHAŁ.

Opowiedziałem Jeymości; zaraz tu przyidzie przyiąć WM. WM. Pana, proſi o cierpliwość. —

ZACNIEWSKI.

Zkądże ze mną ta ceremonia? zawſze mi wolno było iść do pokoiu Jeymości; zły to znak, iakąś to oziębłość znaczy.

MICHAŁ.

Jeymość tak powiedziała, że nie może Pana przyiąć w ſwoim pokoiu.

ZACNIEWSKI.

Milſza mi była poufałość, niż ta grzeczność.





SCENA VIII.

STAROŚCINA, TERESA y LUIZA,

Wchodzą, y zdaleka ſię ceremonialnie kłaniaią. Zacniewſki toż ſamo, nie wiedząc, co to znaczy.

STAROŚCINA *ze śmiechem.*

Coż ia to widzę? to Pan Zacniewſki.

ZACNIEWSKI.

Tak ieſt, ten ſam, ktoremu zawſze wolno było ſłużyć Pani w iey pokoiu, nie odrywaiąc od przykładnych zabaw.

STAROŚCINA.

A mnie powiedziała Luiza, że iakiś Stolnikiewicz przyſzedł.

LUIZA.

Ja tak powiedziałam, iak mi Pan Michał powiedział; coż ia temu winna, że nie Stolnikiewicz.

ZACNIEWSKI.

Panie Michale! coż to znaczy?



MICHAŁ *z ambarasem.*

Wyznaię, żem nie mogł tego znieść na sobie, żebym tak dobrego Pana, ktorego tak dawno znam y szanuię, po prostu nazwał u moiey Pani.

STAROŚCINA.

Wiedzże, Panie Michale, że ia takich ludzi, iak Jmć Pan Zacniewski, więcey poważam, iak tych, co nic z siebie nie maiąc, ze czczych tytułow tylko szukaią okrasy.

MICHAŁ.

Ja nie wiem, iak ludziom dogodzić. Prawda, że u mego przeszłego Pana, zawsze Jegomości nazywałem tylko Panem Zacniewskim, y był mu zawsze rad; ale u teraźnieyszego Pana, nie widzę, tylko Pułkownikowiczow, Rewizorowiczow: bałem się, żeby Jegomości iaka konfuzya nie potkała, iak go nazwę po prostu.

ZACNIEWSKI *ze śmiechem.*

Dziękuię ci, moy Panie Michale, za dobre serce.



TERESA.

Nie dawno w naszym domu, ani moiey matki, ani mnie nie znał dosyć.

ZACNIEWSKI.

Czy tylko ta omyłka nie przeszkodziła Paniom w ich zabawach.

STAROŚCINA.

Już też Teresa skończyła niektore swoie lekcye, bawiła się aftowaniem; ia miałam zatrudnienia domowe, ale ułatwiłam. Moy mąż przyzwyczaiony do zabaw ustawicznych, muszę go często wyręczyć, żeby mu oddalać przykrości nierządu domowego.

ZACNIEWSKI.

Czemuż Pani nie zażyie przyiacioł, ktorzyby iey uięli pracy.

TERESA.

Ja nawet nie mogę uprosić matki moiey, żeby pozwoliła pomoc sobie w zatrudnieniach; każde iey naśladowanie byłoby mi nauką: znam to, że celem życia moiego nie same są zabawy, te dopiero po powinności dopełnieniu mogą być przyiemne.



STAROŚCINA.

Moia kochana Tereſo! bardzobym cię krzywdziła, żebym cię oddalała od poznania przyſzłych powinności twoich; cała oſtrożność moia w tym zawiſła, żeby ci ich przed czaſem nie obrzydzić: co dzień mi pomagaſz w rozporządzeniu domowym, ale tego nie czuieſz, boś chętnie przywykła; to co czyniſz ieſt doſyć dla płci naſzey, ieżeli będzieſz miała męża rządnego y znaiącego delikatność; ieżeli zaś trafiſz na męża niedbałego o właſne dobro, maſz rozum y cierpliwość; ale odwracać będę, ile możności, taki los od ciebie, bo znam co koſztuie, y iak mało żon znośić go przyſtoynie umieią, a radabym cię widzieć nayſzczęśliwſzą, bo ſobie podchlebiam, żeś tego warta.

ZACNIEWSKI.

Miło widzieć tę ſzczęśliwą wzaiemność między dobrą matką, y dobrą corką; uſtawiczne kareſy, dogadzanie prożności, nie ſą miłością macierzyńſką; ale przez przykłady rządu y cierpliwości, być uſtawicznym domowey ſpokoyności wzorem, to ieſt, co ſię zowie prowadzić roztropności drogami do ułagodzenia nayprzykrzeyſzego



życia loſu: ieżeli corce należy winſzować matki, to y matce corki.

TERESA.

Już ia nie wiem, w czym ieſtem pomocą matce moiey.

STAROŚCINA.

Nie czyń mi krzywdy, Tereſo; wyznay ſzczerze, że nic nie taię przed tobą, y że zawſze przytomna ieſteś zatrudnieniom moim: nie raz ci przepowiedziałam, co cię za los czeka; wieſz, że oyciec twoy nie oſzczędza fortuny, wolno mu, bo iego ieſt właſna; nie ſarkam na to, ale gotuiąc cię, żebyś ſię w każdym loſie umiała znaleść ſzczęśliwą; rozumiem, że ci naybogatſzy gotuię poſag.

ZACNIEWSKI.

Prawdziwie wdzięczen ieſtem Michałowi, że ſię ſtał niewinną przyczyną, tych ślicznych cnoty y ſentymentu ſporow: możebym był tego nie ſłyſzał, gdybym był Panią w iey pokoiu nad praktyką tych powinności zaſtał; bo te zawczyczay w wielkiey cichości y ſpokoyności widziałem.



STAROŚCINA.

Cichość nie może być zawſze; bo chcąc mieć ſpokoyność, trzeba czaſem napomnieć upartych, żeby nie przerywali ſłodyczy rządu. — Tereſo! przyznay ſię, żeś y ty nie raz wzięła napomnienie; ia nie wiele trzymam o roſtropności tych, ktorych nieprzyzwoicie dobremi nazywaią dla tego, że ſą oziębli, niedbali y ſłabi; kto chce utrzymać rząd ſzczęśliwy, muſi wſzyſtko widzieć, a wſzyſtko widząc, y z ludźmi nie z aniołami do czynienia maiąc, muſi zganić, lub pochwalić, co ſprawiedliwość każe.

TERESA.

Ja tyle wiem, żebym zawſze rada być tak napominaną, iak byłam od matki moiey; bo mi to częſto wyſzło na dobre.

STAROŚCINA.

To ieſt przynaymniey moim celem: ktora matka rozumie, że dała doſkonałą edukacyą corce, gdy ią kazała uczyć ięzykow obcych, tańcować y grać na klawikorcie; bardzo ſię myli: mogą te zabawy być wielką pomocą do oſłodzenia przykrych nudow; ale ia przynaymniey wiem z doświadczenia, że rząd domowy, ktory właśnie ieſt naſzey płci powinnością, tyle ma podziałow, gdy go kto chce doſkonale pełnić, że częſto nayprzyiemnieyſzą zabawę zaſtąpić może, bo ſkutki iego ſą naypewnieyſzą przyczyną trwałego ſzczęścia. — Jeżeli zaś te powierzchowne ozdoby maią ſamey próżności być ſidłami; bardzo przemiiaiącą daią rozkoſz, a bardzo pewne y długie gotuią cierpienie, chociażby w nayobfitſzym loſie. Wiele żon narzekaią na ſwoy los, a nie zważaią, że częſto ſame ſą przyczyną, bo ſię w tym loſie znaleść nie umieią, y oſłodzić go przez rozum.



SCENA IX.

LUIZA, *y dawni.*

LUIZA.

Jegomość przyſłał, że czekać będzie Pani w Saſkim ogrodzie, gdzie Pan Pułkownikowicz daie lody y puncz.

STAROŚCINA.

Niechże przeproſi mego męża, że nie mogę być; bo, bo, bo, bo, ſłaba trochę



ieſtem; y moia corka ieſzcze czeka na lekcyą hiſtoryi Polſkiey.

LUIZA.

Ale ten lokay powieda, że tam dużo ludzi, na klarynetach graią bardzo weſoło, officerow pełno, y Pani Cześnikowa.

STAROŚCINA.

Tereſo! czy chceſz, żebym iechała? oddaię ci to do woli.

TERESA.

Pozwol mi WaćPani Dobrodzika, żebym iey tu ſłużyła; nie chciałabym opuścić moiey lekcyi: właśnie ieſtem w tey części hiſtoryi, kiedy Polſka tak ſzanowana była od wſzyſtkich narodow; radabym znaleść co na pochwałę płci naſzey, że umiała ożywiać y zachęcać ducha rycerſkiego: bo zda mi ſię, że to powinnoby być celem edukacyi naſzey, ieżeli we płci męſkiey chcemy widzieć obrońcow naſzych, y ludzi do ſpołeczności ſzacownych.

STAROŚCINA.

Więc powiedz Luizo, że nie możemy być.



ZACNIEWSKI.

Przykładna ieſt chęć poznania hiſtoryi tym celem, ktory dopiero ſłyſzałem z uſt Tereſy.

STAROŚCINA.

Mnie ſię zdaie, że iedna z przyczyn mocnych, dla czego w Polſzcze mało widać prawdziwych obywatelow, ieſt ta: że cała edukacya mężczyzn ieſt obrocona na podobanie ſię kobietom, a kobiety nie ſą doſyć oświecone wiadomością dzieiow właſnego kraiu, żeby im ſię tacy tylko ludzie podobać mogli, ktorzy ſławę y dobro iego maią za cel: rozumiem, że w dawnieyſzych wiekach choć mniey było wdziękow, muſiało być więcey czułości w płci naſzey. Polacy dawni, gdy woiażowali, rodzice wyſyłaiąc za granicę, muſieli ſobie zakładać iakiś cel nauki y doświadczenia, ktore potym na pożytek właſnego kraiu ſłużyły. Dziś woiaże więcey śmieſzności nałogow, iak oświecenia w powracaiących do kraiu wprowadzaią; bo nie maią żadnego pożytecznego dla kraiu zamiaru: gdy wychowanie kobiet, albo mężczyzn nie ma za cel dobra powſze-



chnego, tylko prożność, ten muſi być ſkutek koniecznie.

ZACNIEWSKI.

Gdyby takich matek więcey było, iakbyśmy byli ſzczęśliwi! ta ſama chęć podobania ſię dobrze użyta, mogłaby uſzczęśliwiać narody: ale dalekoby nas ta rozmowa zaprowadziła. Powrocę tu poźniey, teraz miałbym ſobie to za wyſtępek, gdybym więcey czaſu tak dobrze używanego zabierał.

SCENA X.

STAROŚCINA, TERESA.

STAROŚCINA.

Poydźmy, kochana Tereſo, do zabaw twoich; rozumiem, że cię ſzacunek takiego człowieka, iak Pan Zacniewſki, powinien zachęcić.

TERESA.

Ale, ieżeli tylko powroci.

STAROŚCINA.

Powroci, bo obiecał; ieżeliby tu kto przyſzedł, powiedzieć, że mnie nie maſz, iak



iak ſię uſpokoię, to tu ſama przyidę. *Odchodzi.*

SCENA XI.

ŁUIZA, MICHAŁ.

LUIZA.

Czy rozumieſz, Panie Michale, to wſzyſtko, co oni tu gadali? bo ia nie wiele rozumiem: chcą, żeby Panna Tereſa uczyła ſię hiſtoryi; ia zawſze ſłyſzała, że kiedy kto iaką hiſtoryą gdzie zrobił, to wſzyſcy na niego biy zabiy, a oni chcą z tey Panny tak grzeczney hiſtoryczkę zrobić.

MICHAŁ.

A to z wyſoka dla ciebie, moia Panno, nie taka to hiſtorya, iak WaćPanna rozumieſz; ſą to iakieś hiſtorye dawnę w kſiążkach drukowane; ale kto to tam wie! czy to prawda, czy nie prawda: ci Panowie czaſem nie wiedzą, co ſię w ich domu dzieie, a chcą wiedzieć, co ſię przed kilka ſet lat na świecie całym działo.

LUIZA.

Moy Panie Michale! iaby też rada iaką hiſtoryą umiała; czaſem moia Pani nie mo-



że usnąć, tobym iey prawiła; możeby to pomogło na sen: żebyś mnie WaćPan iakiey nauczył, bardzobym WaćPanu dziękowała; ia widziałam nie raz przez okno, iak WM. WM. Pan nieboszczykowi Panu swemu kśiążki nośił, to WaćPan muśisz być bardzo mądry.

MICHAŁ.

A iużci dał Pan Bog rozum; przecieć człowiek nie darmo iadł y pił na świecie.

LUIZA.

Czy był WaćPan w szkole?

MICHAŁ.

W samey szkole nie byłem, alem bardzo blisko szkoły mieszkał.

LUIZA.

Coż też to tam robią w tych szkołach?

MICHAŁ.

A rożne rzeczy, rożne rzeczy. *(na stronie)* Co iey tu powiedzieć, kiedy ia sam nie wiem.



LUIZA.

Ale coż przecie, czy kwiatki? czy kornety?

MICHAŁ.

Bardzoś ciekawa, moia Panno, bardzoś ciekawa; iam przyśiągł na sekret, że wynidę ze szkoł, a nie będę mowił o szkole, iakbym tam nigdy nie był.

LUIZA.

No, kiedy WaćPan tak dobry do sekretu, to mi WaćPan muśisz przynaymniey czytać: mam tu starą kśiążkę; bobym śię rada przecie od WaćPana czegoś nauczyła.

MICHAŁ *do ludzi.*

Oy! źle; a ia czytać nie umiem; *(do Luizy)* zkądże to WaćPanna tę kśiążkę wzięła?

LUIZA.

Tu w garderobie na połce leżała.

MICHAŁ *przewraca kśiążkę.*

A boyże śię Boga! moia Panno; to kśiążka zakazana.



LUIZA.

Jak to zakazana?

MICHAŁ.

Nie wolno iey czytać.

LUIZA.

Jak to może być nie wolno? kiedy kto ma oczy, y ma kſiążkę przed oczami; wſzak to ſą kazania: — Xiądz Kapelan zawſze nam ie na wſi czytał, a potym przepiſował, y w inſzey parafii za ſwoie prawił.

MICHAŁ.

Moia Panno! co Kapelanowi wolno, to Kamerdynerowi nie wolno; żeby on też przyſzedł Pańſkie ſuknie przerzucać, tobym ia mu nie dał, to też ia ſię do iego rzeczy nie chcę mieſzać, — *(do ludzi)* udało mi ſię.

LUIZA.

A to co inſzego; y czymże ſię będziemy bawić, kiedy WaćPan taki ſkrypulat? był tu przedtym Pan Łukaſz, ale on nie był taki ſkrypulat, y na co więceyby ſię był odważył.



MICHAŁ.

Y iakże też WaćPannę bawił, ten Pan Łukaſz?

LUIZA.

A bardzoś WaćPan ciekawy, ia też przyſięgła na ſekret, tak iak WaćPan w ſzkole; doſyć WaćPanu wiedzieć, że mi Pan Łukaſz nigdy nie odmowił, kiedy mi ſię czego chciało.

MICHAŁ.

Czy to tak było, moia Panno?

LUIZA.

Oy! tak, tak, bawiliśmy ſię bardzo dobrze.

MICHAŁ.

Winſzuię WaćPaństwu. *W tym ſłychać dzwonek.*

LUIZA.

Oy! Jeymość dzwoni, byway WaćPan zdrow, przyidę ia tu znowu do WaćPana potym; bo kiedy Pana Łukaſza nie maſz, to mnie muſi Pan Michał zabawić. *Odchodzi.*



SCENA XII.

MICHAŁ *sam.*

No, no; widzę to ſtworzenie także ſię lubi bawić; iuż to bawienie nieſzczęśliwe, do wſzyſtkich ſtanow przeſzło; mało kto czyni ſwoię powinność, bo ſię wſzyſcy bawią; to też y kupcy bankretuią, rzemieślnicy zawodzą, y Panowie nie maią czym płacić, bo wſzyſcy ſzukaią wiatru po świecie, a nikt ſię nie umie rządzić według ſwego ſtanu. — Już ſobie ułożyłem w głowie, że ſię może z tą Luizą ożenię; dziewczyna mi ſię podoba, rześwa; — ale kiedy ſię iuż lubi bawić, to nie na żonę. — Człowiekby rad przecię iako groſz zebrać na ſtarość, żeby mieć pokoy w domu, a toby wſzyſtko poſzło na zabawy kochaney żonki. — Poydę teraz do Pana ſpytać ſię, czy będzie w wieczor w domu, y czym ſię będzie bawić, co wieczerza, to wątpie, żeby była: bo ſię kucharz z ſzafarzem poſzli bawić, y nic nie przygotowali; potym muſzę ſię ſpytać, iak dziś będziemy pozbywać wexlowe wizyty: dziś to właśnie dzień ſtraſzny; kto tam wie, co ſię na ſądach ſtało? iuż tu dziś woźny zaglądał, to nie darmo.



AKT II.

SCENA I.

Teatrum reprezentuie ogrod Saſki, ſłychać muzykę na dętych inſtrumentach graiącą rożne ſztuczki, w głębokości Teatru rożne oſoby niby po ogrodzie chodzące, z przodu Staroſta z Cześnikową ſiedzi na ławie przy ſzklepiku, w ktorym Lemonadę przedaią, y cicho mowią z ſobą. — Pułkownikowicz, Rewizorowicz, Luſtratorowicz, Subdelegatowicz, nie daleko od nich na ſtołkach, gdy muzyka przeſtaie:

STAROSTA *woła na chłopca roznoſzącego puncz.*

Daway ieno go tu ieſzcze, chłopczyku, wypiymy za zdrowie Cześnikowy.

CZEŚNIKOWA.

Nayniżſza, nayniżſza, bez fatygi; ale czy zdrowy puncz po rakach? bobym y ia ſię napiła.

Wſzyſcy razem.

Vivat Jeymć Pani Cześnikowa, vivat, vivat.



CZEŚNIKOWA.

Ale pfe! chłopcy nie krzyczcie; będą rozumieli, żeście poszaleli dla mnie.

LUSTRATOROWICZ.

Ale za coż nie szaleć? y coż mamy lepszego do roboty? na to żyiemy. —

REWIZOROWICZ.

Ale puncz walny! ey Podczaszaneczko, szkoda, że cię tu nie masz, ieszczebym wypił za twoie zdrowie.

SUBDELEGATOWICZ.

Wypiymy, kto co lubi?

Wszyscy razem.

Va, va, zgoda, co kto lubi.

CZEŚNIKOWA *wstaie, y kłania się wszystkim.*

Dziękuię wam, moie chłopcy; iacyście wy nieoszacowani! ale co ty, Panie kuzynku, Pułkownikowiczu, toś nie szczery: bo ia wiem, co ty lubisz, y iuż z kochanym Starostą ułożyliśmy præliminaria.



REWIZOROWICZ *do ludzi.*

A ona widzę rozumiała, że to o niey mowa; co kto lubi, moia rybeńka.

SUBDELEGATOWICZ.

To wcale stworzenie do lubienia.

PUŁKOWNIKOWICZ *do Cześnikowy.*

Prawda, Mościa Dobrodziko, że lubię to, co kuzynka Dobrodzika myśli; ale ieszcze nie wiem, czy mnie tam lubią, y boię się trochę ambarasu; ieżeli przyidzie do ślubu, iuż się nie będę mogł tak bawić.

CZEŚNIKOWA *do Pułkownikowicza, przez ten czas, iak to Cześnikowa mowi, Starosta z drugiemi niby cicho rozmawia.*

Cicho! nie bądź cudakiem; Macierzyńska substancya znaczna, Panna iedynaczka, matka sama się rządzi swoią fortuną, nie marnotrawi, to na was będzie zbierać; a kiedy będzie twoią żoną Teresa, łatwiey temu poradzić, żeby Ichmościow oszukać, a może y kochaną żonkę. — Już tylko się ożeń. — Ja się podeymuię wystawić cię na człowieka; nie takich ia wyprowadzała w pole, iak ten nudny Starosta. *(w tym obra-*



ca ſię do Staroſty) Staroſtuńku! przecież ty nieoſzacowany ieſteś! iak mnie ty bawiſz: prawdziwie, uczcie ſię młodzikowie, iak damy bawić.

REWIZOROWICZ.

Alboż to y my nie bawiemy? wſzak to iuż ſzoſta waza punczu.

STAROSTA *ziewaiąc.*

Nie można inaczey mowić, tylko żeście zabawni; ale co moiey żony nie widać? iuż tak dawno poſłałem, żeby tu z moią corką przybyła do naſzey kompanii; bo czaſem muſzę ią menażować, ma Jeymość Dobrodzika pieniążki.

CZEŚNIKOWA.

Dobrze robiſz, Staroſto, że menażuieſz taką żonę; radabym, żeby przyiechała y Tereſa, bobyśmy iuż co zkonkludowali w tym intereſie mego Pana kuzyna.

STAROSTA.

Nie tak to tam łatwo, ale ia mąż, a mąż głowa. *Tu zaczyna grać muzyka almandę, Cześnikowa minkami przyſadnemi zaczyna*



tańcować do Staroſty; po długim podryganiu, Cześnikowa, wachluiąc ſię, mowi: Ah! ah! zmordowałam ſię.

STAROSTA.

Wierzę, wierzę.

CZEŚNIKOWA.

Jak to WaćPan wierzyſz? to WaćPan pewnie rozumieſz, że ia ciężka.

STAROSTA.

Nie to chciałem mowić, tylko że WaćPani Dobrodzika tańcuieſz z akcyą, y z gracyą; to bardzo morduie.

CZEŚNIKOWA.

Otoż nie morduie; gotowabym ieſzcze nie iednego przeſkoczyć.

STAROSTA.

Wierzę, bo Pani iak ptaſzek.





SCENA II.

LORENS *Lokay y dawni.*

Lorens.

Starſza Pani nie będzie, bo trochę ſłaba, a młodſza Pani bierze lekcyą.

Starosta.

Jaką lekcyą? o tym czaſie po obiedzie. Coż ta moia żona z tą biedną dziewczyną robi? na co ſię te lekcye zdadzą, czy nie lepiey ſię zabawić? ile że lekcya po obiedzie pewna nieſtrawność w żołądku.

Lorens.

Sama młodſza Pani proſiła Jeymości, żeby iey pozwoliła zoſtać w domu, y lekcyi nie opuſzczać, bo to tam coś ma być bardzo ciekawego: iakaś to tam hiſtorya Polſka, ale nie wiem iaka, tylko że to ma być bardzo pięknie, bo długo o tym mowili.

Cześnikowa.

Co? hiſtorya Polſka dla Panny? a iuż też ta Starościna niewiedzieć po iakiemu edukuie tę corkę! nie dziwowałabym ſię, żeby



dla tańca, albo dla klawikortu zoſtała w domu. Ale dla hiſtoryi, y ieſzcze dla Polſkiey, a pfe! coż to za nudy! y WaćPan oyciec, a pozwalaſz na to; cel edukacyi Panny powinien być, zawracać głowy mężczyznom, a cel życia mężczyzn, ieſt umizgać ſię y bawić damy.

Rewizorowicz.

Hiſtoryczkę zrobią z Panny bez potrzeby, nie miło o tym y ſłuchać; poydźmy. *Tu młodzikowie odchodzą w ogrod.*

Starosta.

Już ta moia żona nic nie wie, co to ieſt edukacya corki; coby ią miała nauczać, iak to przecie w kompanii uśmiechnąć ſię, w czaſie okiem mrugnąć, nogę pokazać niby nie chcący, opiſać drugie damy, iak ktora była ubrana, iaki miała kornet, iaki kwiatek, do kogo ſię umizgała, kogo oſzukuie, żeby przecie pokazała, że ſię na tym zna, y żeby umiała zabawić kompanią, to ona iey każe uczyć hiſtoryi Polſkiey; na co ſię iey to zda? — rzadko ktory Polak zna hiſtoryą ſwego kraiu, z kim ona będzie o tym mowić? chyba z cudzoziemcami?



CZEŚNIKOWA.

Już ia miarkuię, kto to tego narobił; zapewne ten nudny Pan Zacniewſki, bo żona WaćPana zawſze go rachuie za bardzo pożytecznego człowieka dla kraiu, a on też wſzyſtko iey doradza, co ma z Tereſą czynić; ślicznie on ią wyedukuie: będzie umiała hiſtoryą Polſką, a wſtążki na głowie nie będzie umiała dobrze przypiąć.

LORENS.

Był tam y Pan Zacniewſki.

CZEŚNIKOWA.

Otoż, nie mowiłam ia? trzeba, żebyś WaćPan koniecznie tego człowieka pozbył z domu, tak mowiąc między nami, to y nie przyſtoi, żeby ten człowiek uczęſzczał w dom WaćPana. *(w tym ſię ogląda)* Ale apropo, gdzie ſię naſze chłopcy podzieli?

STAROSTA.

Poſzli chodzić w ogrod.

CZEŚNIKOWA.

Kiedy nam nikt nie przeſzkadza, umowmy co względem wiadomego WaćPanu intereſu; ale trzeba lokaia odeſłać.



STAROSTA *do Lorenſa.*

Czekać mnie z karetą u żelazney bramy.

SCENA III.

STAROSTA, CZEŚNIKOWA, *ſami.*

CZEŚNIKOWA.

Moy Staroſto! trzeba iakiś koniec zrobić; podchlebiam ſobie, że moia dla WaćPana powolność zaſłużyła, żebyś mi nie odmowił, o co ci dawno iuż głowę kłocę: znaſz mego kuzyna, Pułkownikowicza, chłopiec udatny, ſzykowny, tańcuie bardzo ładnie, woiażował; co większa, że zawſze dniem y nocą iechał, toć ia rozumiem, że żyźwieyſzego chłopca nie możeſz pretendować dla ſwoiey corki za męża: przytym rodzice wkrotce Bogu ducha oddadzą, pieniążki maią; ieſt prawda kilkoro dzieci, ale drobnych, a ten chłopiec ma obrot, to on potrafi użyć awantażow opieki, ia mu też moiey rady nie odmowię, bo ia ieſtem bardzo dobra kuzynka; a do tego w tey młodości iuż ieſt Pułkownikowiczem, ieżeli ſtopniami poydzie, zapewne poydzie do znacznego urzędu: nie mogę WaćPanu dać



większego dowodu przyiaźni, iak tę partyą ofiaruiąc dla corki.

Starosta *zamyślony*.

Prawdziwie znam to za exces łaski Pani, ale moia żona zostawiła sobie obierać dla Teresy męża. Ja widzę, że Pułkownikowicz zabawny, przynaymniey całe życie się bawi; iednak bez moiey żony o corcę boie się co układać.

Cześnikowa.

A pfe, Starosto! podłe sentymenta, żeby zaś mąż miał się radzić żony; zkądże ci się ta staroświedczyzna wzięła? prawda, że niebosczyk Cześnik, moy kochany małżonek, nic bezemnie nie robił, ale też wiedział, iaką miał żonę; nie chwaląc się, iestem wzięta u ludzi, y znam świat, ale WaćPana żona, coż zna? ieżeli ten rząd domowy, te śpiżarniane zabawy, te rachunki z Ekonomami, afi! afi! gdzie taka kobieta może dać dobrą radę mężom! nie chwale się, ale powinieneś sobie WaćPan winszować, żeś dostał takiey przyiaciołki, iak ia.

Staro-



Starosta.

Przyznaię ia to wszystko, Mościa Dobrodziko, ale też y to przyznać muszę, że odtąd, iakem zaczął pod słodkiemi iey przyiaźni prawami używać świata, wprawiłem się w ambarasy wexlowe, y gdyby nie moia żona, iużbym był nie uniknął niedyskrecyi traduiących.

Cześnikowa.

O! moy kochany Starosto! lada bagatela cię zatrudnia; to Pańska rzecz przewexlować fortunę: czy wolałbyś, żeby te spleśniałe dukaty śmierdziały ci pod nosem? fi! porzuć te brudne myśli! decyduy się Starostulu dla mego kuzyna; żona WaćPana bogata sama z siebie, corka iedynaczka, zrobisz szczęście dla tego grzecznego chłopca; toć on może w to potrafi, używszy protekcyi, że żona WaćPana nie będzie długo zawadzać fortunie, a WaćPana obowiąże się żywić do śmierci.

Starosta *z podziwieniem*.

Mnie żywić do śmierci? smutna perspektywa! tenże to iest cel zabaw naszych, żebym ia został bez sposobu do życia?

D



CZEŚNIKOWA.

A! moy Starofto! iakifz mafz umyfł trwożliwy; coż ci to fzkodzi? byle fię dobrze bawił: fi! nie przyftoi mężczyznie być tak mało odważnym! bierz ze mnie przykład, choć ieftem kobieta; wiefz, że mi to nie długo wyftarczało, co mi fię po mężu zoftało, przecięż używam świata rowno z naybogatfzemi, bo mam fpofoby y odwagę, y ieftem Cześnikowa à la mod.

STAROSTA.

Nie każdy tak fzczęśliwy, Mościa Dobrodziko. —

CZEŚNIKOWA.

Ale, moy Starofto! bo nie każdy da fobie czas poznać fkrytości fprężyn, ktoremi fię ludzie promowuią na świecie; wierz mi, tylko mnie fłuchay, day corkę memu kuzynkowi, to zobaczyfz, iak cię wypromowuię; wiefz z kim ieftem w przyiaźni? y w iak ścifłey? —

STAROSTA.

Pozwol mi WaćPani Dobrodzika pomyśleć nad tym, bo to chodzi o rzecz; dawno też iuż nie miałem czafu żadney uczynić uwagi, bom fię bawił. —



CZEŚNIKOWA.

Otoż cię zoftawiam famego, moy kochany Starofto; poydę w ogrod nafzych chłopcow pofzukać; naypierwiey pomyśl o tym, że, ieżeli dobrze mieć mnie za przyiaciołkę, to bardzo niebefpiecznie mieć mnie za nieprzyiaciołkę; a ieżeli WaćPan odmowifz mi, o co profzę, będę wiedziała co z tym czynić: wfzak wiefz, że mam głowę, y wiem do kogo trafić, żeby wfzyftkiego dokazać. *Odchodzi.*

SCENA IV.

STAROSTA *fam, zamyślony.*

Diabelnie daleko zabrnąłem z tą przyiaciołką! ani mi odchnąć nie da, tylko mnie wfzyftko bawi; prawdziwie ta zabawa ftanie za naywiękfzą pracę! z tą tylko rożnicą, że bez pożytku w domu: iak tu wybrnąć z tey galery? kiedy fobie żyłem fpokoynie z moią żoną, prawda, żem tyle nie ieździł na fpacery, ale fię mnie zdaie, żem był fzczęśliwy; teraz fię wfzyftko bawię, y bawię, y



bawię uſtawicznie, ale gdy powrocę do domu trzeźwo, y porachuię ſię ſam z ſobą; widzę, że im więcey ſię bawiłem przez dzień, tym więcey nieſpokoyności zoſtaie w domu: do czego mnie też te zabawy zaprowadzą? nie wiem: muſi to przecie mieć iaki cel, bo widzę, że ſię wſzyſcy bawią, a rzadko kto fantazyią traci, choć wielu, między bawiącemi ſię, imiona w regeſtrze wexlowym widziałem. Prawda, mowi ta Cześnikowa: że trzeba mieć odwagę y czoło, to ſię wſzyſtko udaie; iednakowoż kobieta rozumna: darmo, iuż teraz nie czas wrocić ſię do ſpokoyności domowey, trzeba brnąć, trzeba corkę ażardować za tego iey kuzyna; niech ſię dzieie co chce, będę ſię bawił, choćbym ſię miał y nudzić, trzeba zagałuſić tę nieſpokoyność y gryzotę. —

SCENA V.

STAROSTA, MICHAŁ.

STAROSTA.

A iak ſię maſz, Michale? coż tam powieſz? gdzie idzieſz?



MICHAŁ.

Do Pana. —

STAROSTA.

A po co? —

MICHAŁ.

Chciałbym wiedzieć, czy Pan będzie u ſiebie w wieczor.

STAROSTA.

Będę. —

MICHAŁ.

A wieczerza? —

STAROSTA.

Na 12 oſob. —

MICHAŁ.

A ktoż będzie wydawał do kuchni? —

STAROSTA.

Kto? zwyczaynie ſzafarz. —

MICHAŁ.

Ale kiedy go nie maſz. —



STAROSTA.

Gdzież u diabła poſzedł? —

MICHAŁ.

Poſzedł ſię bawić. —

STAROSTA.

Pogańſki ſyn! co za hultay! nakoniec to niech odbiią śpiżarnią; czyż trudno o ślosarza? co mi tam takie nudy baieſz?

MICHAŁ.

Mnieyſza o to, ia każę odbić, kiedy Pan tak każe, — (*odchodzi, y znowu ſię wraca*); ale, Mości dobrodzieiu! ſzkoda kłotki, bo to angielſka.

STAROSTA.

Idź do diabła z tą ekonomią! co cię moy worek koſztuie? —

MICHAŁ.

Prawda, że mnie nie koſztuię, ale mi żal Pańſkiey ſzkody; bo to ślosarze drodzy.



STAROSTA.

Skończże te baie. —

MICHAŁ *odchodzi y wraca ſię.*

Ale, Mości dobrodzieiu! iak ſię śpiżarnia otworzy, ktoż będzie ieść gotował? —

STAROSTA.

Czyś oſzalał? zwyczaynie kucharz.

MICHAŁ.

Ale kiedy go nie ma w domu?

STAROSTA.

Gdzie ſię podział?

MICHAŁ.

Daie bal na Pradze ſwoim kolegom, kucharzom y paſztetnikom, pod wiechą; maią tam być także niektorzy lokaie dyſtyngwowani. —

STAROSTA.

Coż to za prożniacy! —

MICHAŁ *kłania ſię niſko.*

Z przeproſzeniem Pańſkim, albo to człowiek prożnuie, kiedy ſię bawi? wſzak ſię

 

Pan uſtawicznie bawi, — a zawſze ſmutny, zmordowany powraca do domu, iak gdyby naywięcey pracował.

STAROSTA.

Panie Michale, wara z takiemi żartami; nie za panie brat. —

MICHAŁ.

Bez urazy, Mości Dobrodzieiu; ia nie chcę Pana gniewać, choć prawdę mowię.

STAROSTA.

No, idźże ſobie iuż precz, bo ia nie mam czaſu o takich bzdurach gadać.

MICHAŁ.

Pozwol ieſzcze, Panie, aby ſłowko.

STAROSTA.

Mow, a nie baw ſię. —

MICHAŁ.

Oto mnie ſię zdaie, żeby pewnieyſza wieczerza była u Jeymości; bo chociaż Jeymość nie bardzo rada tym gościom, co u Pana



bywaią, to Panu ſamemu, wiem, że będzie rada bardzo.

STAROSTA.

Coby ia cały wieczor z moią żoną robił! ia ſię chcę bawić w moim apartamencie, a Jeymość niech ſobie ſiedzi w ſwoim, kiedy chce; ieſzcze lepiey, nie będę miał ſubiekcyi.

MICHAŁ.

Ale pewnieyſza wieczerza, y kłotkibyśmy nie zepſuli, y kucharz, kto wie, czy powroci; może ſię bardziey bawi, iak Pan.—

STAROSTA.

Baieſz nic do rzeczy; iak ia chcę, tak niech będzie.

MICHAŁ *odchodzi y wraca.*

Jeſzcze mi Pan niech pozwoli iedno ſłowko.

STAROSTA.

Tylko prędko. —

MICHAŁ.

Jeżeli iacy nieſpodziewani goście przyidą, co im powiedzieć?



STAROSTA.

Nie przyidą, tylko proszeni. —

MICHAŁ.

Ale, bo ia iuż dziś kilku nieproszonych odprawiłem.

STAROSTA.

Jak to? —

MICHAŁ.

Jakiś Subdelegat z woźnym, iuż kilka razy napierał się do Pańskiego domu; ale iak się dowiedzieli, że Jeymość sama iest, odeszli, ale postawili iednego, ktory pilnuie na przyiazd Pański; powiadaią, że są od iakiegoś sądu przysłani na tradycyą, ruchomych y nieruchomych kawałkow Pańskich.

STAROSTA.

Oy źle! Panie Michale; moy kochany Michale, nie puszczay tych gości; prawda, że dziś sprawa przypadała, a ia się bawiłem, y zapomniałem wszystkiego.

MICHAŁ.

To nie muszą być goście zabawni, kiedy ich Pan nie chce puszczać.



STAROSTA.

Biegay, proś moiey żony, żeby nie wychodziła z domu, ia tam zaraz przyidę; biegay. —

MICHAŁ.

A mam szukać szafarza, kucharza, ślosarza?

STAROSTA.

Nie, nie, nie, biegay do domu, pilnuy, nie puszczay, choćbyś miał życiem przypłacić, moy Panie Michale.

MICHAŁ.

Tak to! poki Michał mowił o wieczerzy, to był prostym Michałem; iak go trzeba, żeby dłużnikow nie puszczał, iuż ci ow prosty Michał został Panem Michałem. *Odchodzi.*

SCENA VI.

STAROSTA *sam, zamyślony.*

Oy źle! iak się tu wykręcić! to nie żart; dziś termin przypada do zapłacenia 3000. czerw. złotych, a ia szeląga nie mam; co to, to nie bawi. —



SCENA VII.

REWIZOROWICZ, LUSTRATOROWICZ, y SUBDELEGATOWICZ.

REWIZOROWICZ.

A gdzie ſię podziała Cześnikowa? —

STAROSTA.

Poſzła WaćPanow ſzukać. —

LUSTRATOROWICZ.

A my też właśnie iey ſzukamy; cośmy ſię tam naśmiali z Podczaſzanki, ktora pro-żno ſidła ſwoie na Starościca zaſtawiła, a on ſię z tego śmieie, y do Skarbnikowny pali; to trio extra zabawne. —

SUBDELEGATOWICZ.

To fraſzka, ale ten Reverendus Pater, co ſię ze ſzkiełkiem za robranami uwiia między lipami, wart ſto tyſięcy. —

REWIZOROWICZ.

A ten lichwiarz, co to po trzydzieści od ſta bierze na mieſiąc, iakim pożądliwym okiem na brylanty Kaſztelanowy poziera! znać to z miny iego, że ie iuż ma za ſwoie.



STAROSTA *po długim zamyśleniu.*

Muſzę ia iednak Cześnikowy poſzukać; kto wie, czy ona mi nie poradzi? ta kobieta ma rożne ſpoſoby, y ſpoſobiki: *(odchodzi)* naoſtatek iey moię corkę obiecam; tonący brzytwy ſię chwyta.

SCENA VIII.

LUSTRATOROWICZ, SUBDELEGATOWICZ, REWIZOROWICZ.

REWIZOROWICZ.

Kiedy tu Cześnikowy nie maſz, to ona zapewne złapała gdzie Pułkownikowicza, y ſwata; bo to iey paſya ſwatać, y intrygować. —

LUSTRATOROWICZ.

Jeżeli ona chce tego fircyka zrobić z wyſoka amoroſo, to nam walną komedyą wyprawi; ale iakże ona diabelnie tego Staroſtę wyſtrychnęła! mowią wſzyſcy, że ani nadziei nie maſz, żeby powſtał: co dzień inſzy termin wexlowy; a ſłyſzę ma tey zabawki ieſzcze na kilka niedziel. — Wyperſwadowała mu, że ią kocha, on rozumie,



że Starosta powinien koniecznie mieć intrygę, y sie, iak swego.

SUBDELEGATOWICZ.

Jeszcze on fantazyi nie traci, y dziś słyszałem daie nam bardzo zabawną wieczerzą w swoim apartamencie, y dobrze, że ta melancholiczna Starościna u siebie siedzi, bo ona z nami nie umie trzech zliczyć.

REWIZOROWICZ.

Ale Teresa ładna; iabym wolał, żeby ona bywała z nami: nie masz takiey dziewczyny na świecie, ktoraby nie nadstawiła ucha, kiedy iey kto co słodkiego podyktuie; iuż ia nie raz tego doznałem, a stopniami można ią na wszystko namowić. —

SUBDELEGATOWICZ.

Już ia tamtych pracowitych amorow nie lubię używać, to iest grunt. —

LUSTRATOROWICZ *ziewaiąc.*

Używać y zabawić się, to iest celem życia każdego edukowanego człowieka. —



SCENA IX.

Dawni, *y* CZEŚNIKOWA *z* PUŁKOWNIKOWICZEM, *cicho mowiąc wchodzą.*

REWIZOROWICZ *do ludzi.*

Nie mowiłem ia, że ona go formuie na amanta? iuż, kiedy szepce, to zapewna iaka intryga w robocie; będzie kontenta ta żona, co z iey łaski będzie miała męża. —

CZEŚNIKOWA.

Jak się macie, chłopcy? a gdzieżeście podzieli mego śmiesznego Starostę? —

LUSTRATOROWICZ.

Poszedł Pani szukać, iak żelazo za magnesem, iak słomka za bursztynem, tak iego serce za Panią. —

CZEŚNIKOWA.

Nie żartuy, nie żartuy, bo on mnie niesłychanie nudzi: dobrze mieć między niewolnikami taką figurę, bo pożyteczna; ale co nudny, to nudny; kiedy to on chce udawać młodzika y galanta, to wiele warto. —



REWIZOROWICZ.

Ma iakiś interes pilny do Pani, bo ſię wypytywał, y poſzedł ſzukać po wſzyſtkich ulicach ogrodu, muſi być interes bardzo pilny; ha, ha, ha, bardzo pilny. —

CZEŚNIKOWA.

Już ci on mnie wſzyſtko winien; pokazałam mu drogę życia, nauczyłam go, iak ſię ma bawić, rozłączyłam go z tą żoną, bo nic nudnieyſzego nie maſz, iak ten mąż z żoną uſtawicznie, iakby iuż dla mężczyzny nie było innych kobiet, tylko żona. —

LUSTRATOROWICZ.

Tego tylko brakuie do przykładnych nauk Pani, żeby żonę nauczyła, że ſą inni mężczyzni dla niey, procz męża; boby to czaſem y Tereſa profitowała. —

CZEŚNIKOWA.

Nie boycie ſię, poymie to Tereſa łatwo, ſpodziewam ſię, że będzie wkrotce moią kuzyną; ia potrafię zdiąć tę maſkę indyferencyi dla chłopcow: nie dziwować ſię, że ieſzcze nic nie umie, bo czego ſię można przy



przy takiey matce nauczyć, chyba hiſtoryi Polſkiey! to śliczna rzecz, ha, ha, ha.

LUSTRATOROWICZ.

Ha, ha, ha, potrzebna ta hiſtorya, iak umarłemu kadzidło. —

CZEŚNIKOWA.

Przerobię ia tę hiſtoryą na bardzo ładny romans; potrafię ia w to, że nam ſię będą ordery kłaniały: nie prawda kuzynku? —

PUŁKOWNIKOWICZ.

Zeby tylko bogate ordery, bo iak ubogie, to te gwiazdy żadnego pożytku do domu nie przynioſą, ieżeli nie będzie komu banku założyć, ani dla kogo kart nakartować rozumnie. —

REWIZOROWICZ.

Jakże to? alboż naſz Pułkownikowicz wſtępuie wſtan małżeńſki? —

PUŁKOWNIKOWICZ.

Jeymość ta ſobie ułożyła, ma ſwoie ſiſtema gruntownieyſze, iak Kopernika; ia mu-



ſzę ſię powodować, bo to moia protektorka. —

S u b d e l e g a t o w i c z.

Bravo, bravo! a z kim? —

C z e ś n i k o w a.

Z tą niedoſtępną Tereſą, corką Staroſty; nie prawda, że proiekt rozumny? będziemy ſię walnie bawić; ale wy chłopcy, hołyſze, wy tylko z łyſzką do ſtołu, trzeba tu o pożyteczniey ſzych znaiomościach pomyśleć, możecie mi do tego pomoc, tylko zaczniycie zawczaſu chwalić przyſzłą moią kuzynkę, że piękna; przed drugiemi chwalcie wieczerze, bo ſą tacy, co ich to prędzey zniewoli, przed innemi mowcie, że ieſt gra mała dla zabawy; chwalcie bankiera, że bardzo pięknie gra, że ſprawiedliwy, y że pięknym złotem płaci: będziecie ſmacznie wieczerze ziadać. —

R e w i z o r o w i c z.

W iakimże guście życzyſz ſobie Pani gości? czy filozofow?

C z e ś n i k o w a.

A pfe! nie chcę, będą dzikie rzeczy gadać, y zawrocą głowę moiey kuzynie



ſentymentami; to na intratę nic nie warto. —

R e w i z o r o w i c z.

To poetow. —

C z e ś n i k o w a.

Tych zrazu trzeba, żeby wſławili piękne oczy moiey kuzyny; bo to wierſzyki idyle madrygały wſzędzie będą latać, nie iednego zwabią do tego bożyſzcza, ktoremu kadzidło dadzą; — iam wiele winna iednemu za odę, przez inne kanały prawda, że mowiąc o pewnych oczach, łatwo mu było o pochwały. —

R e w i z o r o w i c z.

A gdyby też bankierow, kupcow bogatych, wſzak to ludzie uczeni? można ich w ſpołeczności widzieć.

C z e ś n i k o w a.

Oy! to, to, to, dobry proiekt; tak dobry, iak gotowe pieniądze; znać zaraz człowieka, co gruntownie myśli, to daleko żyznieyſze, iak Jaśnie Wielmożna hołota. —



Lustratorowicz.

Jabym życzył prałatow modnych nie zapominać, y tam gotowizna pewna. —

Cześnikowa.

Dobrze mowisz; y nad temi dość iawnie w tym wieku nasze wdzięki panuią; proszę o nich: zdrożeią może śluby, rozwody, y pogrzeby, ale nasz pożytek. —

SCENA X.

STAROSTA y *dawni.*

Starosta.

Ah! Mościa Dobrodziko! wszak ia to Pani szukam, iak mego słońca, ktorego promienie bardzo mi są dziś potrzebne. —

Cześnikowa.

Wierzę, wierzę, moy Starosteńku; nie odmawiam ci, ile możności, tego luminiarza posiłkow.

Starosta.

Ale czy nie moglibyśmy na osobności mowić? bo to rzecz iest wielkiey wagi.



Cześnikowa.

Nie strzegę się prawda nigdy tych chłopcow, bo są dobrzy do sekretu; ale ponieważ WaćPanu tak pilno, żebyśmy tylko sami byli; gotowam to uczynić: chłopczyki, chłopczyki, idźcie sobie pobiegać, szpieguycie te subiekta, o ktorych mowiliśmy, bo ia tu muszę ze Starostą serio pomowić; widzę że Jegomość ma iakieś proiekta niespodziewane. —

Rewizorowicz.

Dobrze, Mościa Dobrodziko; Mości Starosto, bez subiekcyi, tylko bez naymnieyszey subiekcyi. *Odchodzą.*

SCENA XI.

STAROSTA y CZESNIKOWA.

Starosta.

Ah! Pani, ratuy, zmiłuy się! —

Cześnikowa.

Ale mnieysza o to, zaraz, czy tak pilno?



STAROSTA.

Dziś powinienem zapłacić wexel na Cz: Zł: 3000, a żadney gotowości nie masz; chcą mi wszystko tradować, iuż w domu czekaią na mnie. —

CZEŚNIKOWA.

O to to chodzi? prawdziwie z miny WaćPana porywczey, wcale co innego sądziłam; aż mi gorąco. —

STAROSTA.

Czy nie mogłaby mi Pani dać iakiey rady?

CZEŚNIKOWA.

Mam ia tu iednego przyiaciela, ktory, wiem, że ma pieniądze; ale trzeba zrobić facyendę, bo inaczey nie da. —

STAROSTA.

Już na wszystko rezolwowany iestem, byle się ognać tey biedzie. —

CZEŚNIKOWA.

Trzy tysiące Czerwonych Zł: to bagatela; będzie ie miał zapewne ten zacny czło-



wiek, ale mu trzeba będzie dać wexel na 6000 Czerwonych złotych; trzeba zdublować summę, kiedy pilno, a on WaćPanu wreszcie da karetę Gdańską, zegarek Stambulski, pierścionek, karabelę, kilkanaście beczek soli, y inne fanty; ktore się zawsze zdadzą, y 3000 Czerwonych złotych w gotowiźnie. Dawszy mu wexel na Czer: Zł: 6000, trzeba mu będzie regularnie płacić po trzydzieści od sta na miesiąc, — bo to sumienny człowiek, nie będzie więcey wyciągał — aż do terminu.

STAROSTA.

A iużci, kiedy brnąć, to brnąć: coż czynić?

CZEŚNIKOWA.

Y WaćPan to nazywasz brnąć? powinienbyś sobie winszować, że na tak sumiennego człowieka trafisz: spytayieno się WaćPan innych, iak lichwiarzom płacą.

STAROSTA.

Już na wszystko przystaię, bylem zawodu nie miał: dobrze y iaki tydzień spokoyności, choć drogo kupić.



CZEŚNIKOWA.

Właśnie go tu widziałam: poſzukam go, może ſię z nim ſpotkam, to WaćPanu tę przyſługę uczynię, żebym mu dała dowod, że umiem być przyiaciołką; ſpodziewam ſię, że to zobowiąże WaćPana, iże większą znaydę w nim łatwość dla proiektow mego kuzyna.

STAROSTA.

Wſzyſtko, co Pani każe, uczynię: oyciec ieſtem, mam prawo rozrządzić loſem moiey corki; potym umowiemy ślub: tym czaſem muſzę iechać do domu, wſtrzymać tradycyą, y tam będę czekał na Panią y z całą kompanią. *Odchodzi.*

SCENA XII.

CZESNIKOWA *ſama.*

Bravo, Cześnikoſiu! los ci ſprzyia, y wdzięki y rozum twoy wiele dokazuią: właśnie myślałam, co zrobię z temi pieniędzmi, ktore dopiero odebrałam za pewną facyendę; a tak pod imieniem cudzym y kapitał zdubluię, y prowizyika urośnie; y tych śmierdzących nieboſzczyka męża meblow



pozbędę z domu. — Vivat rozum — bravo, Cześnikoſiu! Już też Staroście nie zoſtaie tylko pałac w Warſzawie, będzie on moy: bo zkądżeby pieniędzy doſtał na termin? — Każę wybielić, przedam; wezmę przynaymniey 12,000 duſiow, y znowu zdubluiemy kapitał. Bravo, Cześnikoſiu! Maſz rozum.

SCENA XIII.

REWIZOROWICZ, PUŁKOWNIKOWICZ, LUSTRATOROWICZ, SUBDELEGATOWICZ y CZESNIKOWA.

CZEŚNIKOWA.

Przybywaycie, chłopcy, winſzuycie tey głowie tych oczu, y tym oczom tey głowy; oboie ſię walnie popiſuią.

REWIZOROWICZ.

Tośmy nie darmo zoſtawili Panią: coż przecie, kochany Staroſta fryſz?

CZEŚNIKOWA.

Oy bardzo nie fryſz! alem ia go ożywiła, obiecałam mu balſamu życia.



LUSTRATOROWICZ.

Kogożby Pani nie ożywiła! tym ci to oczom cudow dokazywać, umarłych wſkrzeſzać.

CZEŚNIKOWA.

Prawda, że macie ze mnie nieoſzacowaną kobiecinę. Cożeście tam widzieli? trzeba nazbierać magazyn nowin, żebyśmy ſię mieli czym bawić podczas wieczerzy.

SUBDELEGATOWICZ.

Alboż to trudno o to w Saſkim ogrodzie? kto zna związki ſekretne, kto umie oczy ſzpiegować, to wiele ſię nauczy każdym weyrzeniem; a czego nie widzi, to ſię domyśli: a na rzeſzcie, kiedy tego potrzeba, żeby ſię bawić, to ſkomponuie.

CZEŚNIKOWA.

Już podobno y na komedyą poźno; piękny dzień, to nam czas zſzedł w ogrodzie bez komedyi.

REWIZOROWICZ.

A czyż może być lepſza komedya, iak ta, ktorą my ſami dziś w ogrodzie gramy?



ubył nam naylepſzy aktor, kochany Staroſta, iego ſuſpiry młynyby wietrzne poruſzyły.

CZEŚNIKOWA.

Znayduiemy go na wieczor w domu, y upewniam was, chłopcy, że nigdy nie byłam tak z upragnieniem przyięta, iak dziś będę; kochany kuzynku — dziękuy mi, dziś, nie zawodnie odbierzeſz pierścień zaręczaiący; ale ſtrzeż ſię, żebyś ſię nie zakochał w ſwoiey przyſzłey żonie, ſtałbyś ſię pośmiewiſkiem wſzyſtkich ludzi dobrego guſtu; trzeba Jeymość prowadzić na naſzę wolą, nie na iey humorek.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Ja tam nie wiem, co ſię ze mną dzieie, coście tam WaćPańſtwo o mnie uradzili: ia do gotowego, byle ſię bawić dobrze.

CZEŚNIKOWA.

Jeżeli mi ſię będzieſz powodował z łagodnością, y ieżeli nie będzieſz ſmutnym amantem ſwoiey żony, ieżeli cię iey pożyteczne ułomności nie będą gniewać, ia będę wiedziała, iak ie dyrygować, y wſzyſtko poydzie dobrze: ale to iuż wieczor; iedź-



my naprzod do mnie na moment, bo muszę z sobą zabrać pewne papiery, a potym poiedziemy wszycy do Starosty; za mną chłopcy.

Wszyscy razem.

Bravo, bravo, iedźmy za Panią. *Spiewaią.* To to Pani! to to Pani! Dobrodzika nasza.







AKT III.

Teatrum reprezentuie apartament Starosty.

SCENA I.

MICHAŁ y LUIZA.

MICHAŁ.

Coż też to ci Panowie robią! co mogliby być tak szczęśliwi, y dobrowolnie się czynią nieszczęśliwemi.

LUIZA.

Alboż wiesz co nowego?

MICHAŁ.

Wszak tu codzień co nowego: oto nie pewni iesteśmy dzisieyszey nocy; czy nam tu pozwolą spać; y gdyby nie Pani, podobnobyśmy tu iuż nie byli.

LUIZA.

To wielkie szczęście, że moia Pani ostrzegła sobie zawczasu rząd swoiey własney for-

tuny; u nas wszystko w cichości; prawda, że się nie bawi tak, iak Jegomość, ale się też nigdy nie nudzi, zawsze ma coś do czytnienia, y Panna Teressa toż samo: czas im schodzi, choć się nie staraią o to, żeby go zabiiać. Co mnie to troszkę tęskno bez Pana Łukasza, bo mnie nie ma kto bawić.

MICHAŁ.

Czyń WaćPanna tak, iak Pani, zatrudniay się iey usługą, tak iak ona się zatrudnia, żebyś była szczęśliwą, to zobaczysz, że nie będziesz tęsknić; ia też WaćPannie będę pomagał: a gdy uczyniemy zadosyć powinności, będziemy sobie spokoyni; y wiem, że ta dobra Pani pomyśli o tym, żebyśmy byli szczęśliwi.

LUIZA.

Razem oboie? —

MICHAŁ.

Za coż nie? wszak y ia człowiek, iak drugi; gdybyś WaćPanna mogła zapomnieć o Panu Łukaszu, tobym y ia WaćPannę może zabawił.

LUIZA.

To tam nayłatwiey Pana Łukasza zapomnieć, on mnie bawił tylko czasem: nie raz my się namyślali w oknie stoiąc, osobliwie kiedy kto żyda na ulicy obił.

MICHAŁ.

Otoż iabym WaćPanny tak nie zabawił; bo ia, gdybym widział, że kto y żyda niesprawiedliwie biie, tobym go bronił.

LUIZA.

WaćPan widzę bardzo sprawiedliwy, ale Pan Łukasz był śmieszny.

MICHAŁ.

A gdyby też WaćPannie przyszło męża wybierać, iakiegobyś wolała, czy śmiesznego, czy sprawiedliwego?

LUIZA.

O! co na męża, iaki się trafi, byle prędko; nie trzeba teraz wybierać.

MICHAŁ.

Ale gdybyś też WaćPanna utraciła dobrą Panią, a dostała takiego męża, cobyś na



niego musiała pracować, a onby wszystko przepił, albo przehulał z innemi; tobyś WaćPanna podobno nie była bardzo szczęśliwa; nie prawda?

LUIZA.

Prawda; ale ktoż was tam zna: rzadko ktory dotrzyma po weselu to, co obiecał przed ślubem.

MICHAŁ.

Ale czasem mogłby się taki znaleść.

LUIZA.

O moy Panie Michale! proszę o niego, zaraz za niego poydę, proszę WaćPana wyswatay mnie WaćPan, za takiego będę Wać Panu zawsze mankietki prasować darmo. (*w tym słychać dzwonek*) O o! Jeymość dzwoni, byway zdrow, Panie Michale, (*biegnie*).

SCENA II.

MICHAŁ *sam.*

Ten dzwonek zawsze mi na przeszkodzie, kiedy zaczynam dobiiać targu, to mi się coś wmiesza, y popsuie interessą: ale



iuż dziewczyna zaczyna poymować, żeby tylko Pańskie sprawy dobrze poszły; bo się bardzo boię tey wizyty wexlowey. — cała nadzienia w Pani. — Co to za dobra Pani! iey słowo tu więcey warto, niż wszystkie wexle.

SCENA III.

STAROŚCINA, TERESA, LUZIZA, y MICHAŁ *w oddaleniu.*

STAROŚCINA *idąc mowi do Teresy.*

Jak nam miło będzie teraz użyć świeżego powietrza, kiedy nam dzień zszedł pożytecznie! — Czy nie żałuiesz tych ludzi, ktorzy ustawicznie roskoszy gonią, a wszędzie się nudzą? my nigdy nie tęskniemy, bo się umiemy bez ustawicznych zabaw obeyść; a kiedy na to przyidzie sposobna chwila, im rzadsze, tym bardziey smakuią.

TERESA.

Przynaymniey ia za siebie ręczę; ale nie śmiem sobie podchlebiać, żeby zatrudnienie, ktore WaćPani Dobrodzice daię, bez przykrości było. —



Starościna.

Jeżeli przyznaiesz mi cokolwiek dobrych serca skłonności, powinnaś wierzyć, że wszystko, co dla ciebie czynię, iest zabawą, y to iest naypierwszą przyczyną spokoyności moiey: bo znayduiąc tak łatwą roskosz w domu, nie szukam obcey; może bez ciebie y iabym tęskniła. Załuię matek, co nie znaią prawdziwey roskoszy być matkami.

Teresa, *całuiąc matkę w rękę.*

Nie spodziewam się zasłużyć na to, żebyś mnie WaćPani Dobrodzika kiedy oddaliła od siebie; w poświęceniu iey wszystkich godzin życia, naymiley przyszłość przewiduię.

Starościna.

Nie, moia Tereso, nie zawsze będziemy razem, trzeba, żebyś sobie obrała męża; poydziesz za losem iego, nie będzie to nigdy moią myślą, żebym cię miała rozłączać z powinnością dobrey żony.

Teresa.

Jeżeli mi ten wybor pozwolony, szacunek będzie mi powodem. —



Starościna.

Ten tylko długie oswoienie się z przymiotami człowieka zasłużyć może; a ty iescze nie znasz może, kogo ci los przeznaczył.

Teresa.

Już się zwierzyłam podobno WaćPani Dobrodzice, kto ma moy szacunek, ten mnie zapewne nie będzie oddalał od społeczności matki moiey, bo wie, iak do mego uszczęśliwienia potrzebna.

Starościna.

Domyślam się: ale czy iesteś pewna iego zamysłow? dotąd nie mowił iaśnie, czy chce, czy nie chce; może inne ma ułożenia.

Teresa.

Mowił on ze mną nie raz boiaźliwie, ale kiedy widzę w tym wolą WaćPani Dobrodziki — z takim przyiacielem nie trzeba ostrożności, ile że nadchodzi czas, w ktorym trzeba oddalić wszystkie prożne nadzieie Pani Cześnikowy, ktora mnie iuż dawno swoim kuzynem strasy; potrzebny ten Jegomość inney społeczności, nie tey w ktorey ia mogę pomyślność znaleść.



Starościna.

Cieszy mnie ta nadzieia, oddalać iey nie chcę; ale nie chcę taić przed tobą, żeś winna względy woli oyca, a wiesz, że ma swoie ułożenia.

Teresa.

Zmiękczę go ufnością w dobroci iego.

Starościna.

Będziemy o tym mowić w przeciągu naszey podroży, teraz iedźmy zażyć chłodu. — Michale!

Michał.

Mościa Dobrodziko.

Starościna.

Czy zaprzężona kareta?

Michał.

Jeszcze nie. —

Starościna.

Czemuż? niech się śpieszą.

Michał.

Ale, bo ia mam iednę proźbę do Pani.



Starościna.

Powiedz, czego chcesz; ale niech zaprzęgaią.

Michał.

Ale, bo iak ia powiem Pani moią proźbę, to znowu będą wyprzągać; bo ia Panią znam: Pani nie wyiedzie, na co prożno ludzi trudzić?

Starościna.

Tylko bez tych ogrodek, powiedz, o co chodzi, bo mi się śpieszy.

Michał.

Oto byłem u Jegomości tam, gdzie się to Jegomość bawi, y zastałem go samego, co sobie drzymał na ławce w Saskim ogrodzie.

Starościna.

Ale mnieysza o to, iak się bawi, tylko prędko.

Michał.

Otoż, Mościa Dobrodziko, ia nie chciałem przerwać tey zabawki, żeby się Pan nie zląkł, iakby się nagle obudził, y tak sobie stanąłem na boku, y czekałem.



STAROŚCINA.

Ale coż daley? ſpieſz ſię, moy przyiacielu.

MICHAŁ.

Otoż ſię Jegomość obudził, y mowił do mnie: iak ſię maſz, Panie Michale; Pani ſię domyśli, żem ia ſię ukłonił, y odpowiedziałem: dobrze do uſług Pańſkich; bo przecie wiem, iak z Panami mowić; nie pierwſza ſłużba.

STAROŚCINA.

Ale iuż nie powtarzay tych komplementow; mow o rzeczy, bo ia chcę iechać.

MICHAŁ.

Ale nie poiedzie Pani, ia znam Panią.

STAROŚCINA.

Y coż daley? —

MICHAŁ.

Oto pytałem ſię Jegomości, czy będzie w domu na wieczerzy? &c. a nakoniec powiedziałęm, że tu iakiś Subdelegat z Woźnym, iuż dawno ſię ſkradaią na naſz dom, tylko maią wzgląd na Panią, ale gdyby Pani wyiechała, to pewna tradycya: w ten czas Jegomości łzy ſtanęły w oczach, aż mi go żal było; y o wieczerzy zapomniał, y o gościach, ktorzy mieli być, tylko mnie proſił: moy Michale! nawet, moy Panie Michale! biegay czymprędzey do domu, proś moiey żony, żeby nie wyieżdżała nigdzie, poki ia nie powrocę, y ia też przybiegłem y proſzę Pani.



STAROŚCINA.

Aleś nie oſtrożny, moy Michale; gdybym ia też była wcześniey wyiechała? — Należy także zlecenia pilniey dopełniać.

MICHAŁ.

Oy! pilnował ia na ſchodach, byłbym ſię moſtem przed końmi położył, a nie byłbym Pani puścił; bo mi żal y Pana y Pani takiey dobrey.

TERESA.

Już nie iedźmy, moia Mościa Dobrodziko.

STAROŚCINA.

Nie poiedziemy zapewne: y owſzem, kochana Tereſo, teraz powinność naſza



tak ułożyć intereſſa, żebyśmy męża mego uwolniły z tego zatrudnienia nie daiąc ludziom ſceny: muſzę ſię w moich papierach, w kleynotach, y w ſrebrach przeyrzeć, wybrać, bez czego ſię obeyść można; wſzak na podobną dla oyca przyſługę, nie będzieſz tych prożnych ozdob żałować? — Podchlebiam ſobie, że ich nie potrzebuieſz.

TERESA.

Gdyby mi naypotrzebnieyſze były, chętnie uczyniłabym ofiarę: ale co mogło oyca mego wprawić w to nieſzczęście?

STAROŚCINA.

Ma ſerce dobre, ale zbyt ieſt łatwy, o wſzyſtkich według ſiebie ſądzi, otoczony ludźmi, ktorzy żyią bez celu, potrafili mu obrzydzić ſłodyczy domowego życia, przywykł do hałaſu, nie może ſię oprzeć ſidłom zdrady; nie ma czaſu uwagi uczynić, iak ſzukaiąc roſkoſzy, oddala ſię od uſzczęśliwienia; nayciężey wpaść ną tę drogę, to naylepſzy człowiek muſi błądzić, y naybogatſzy zniſzczeć.





SCENA IV.

ZACNIEWSKI *y dawni.*

STAROŚCINA.

Spodziewałam ſię WaćPana prędzey.

ZACNIEWSKI.

Bardzo to ieſt podchlebne dla mnie przywitanie, ale nie chciałem przeſzkadzać zabawom Pani, bo wiem, że ſą przykładne y miłe; niektore rozporządzenia domowe przytrzymały mnie. — Nie ieſtem tak ſzczęśliwy, iak Jegomość Pan Staroſta, nie mam ſię komu powierzyć z tą ſprawiedliwą ufnością, z ktorą on zoſtawuie dom pod władzą Pani.

STAROŚCINA.

Bardzom wdzięczna mężowi memu, że mi pozwala tego zatrudnienia; bo prawdziwie bez tego wiele godzin życia byłoby nudnych. Zoſtawiam cię tu, Tereſo, z Jegomość Panem Zacniewſkim, wieſz, co mam do czynienia.

ZACNIEWSKI.

A Pani miała ſię przeiechać do ogrodu?



STAROŚCINA.

Prawda, ale mam iedno zatrudnienie, ktore pierwey ułatwić muſzę. — Tereſo, nie dayże tu tęſknić Jegomości; ia tu wkrotce powrocę. *Odchodzi y Michał.*

SCENA V.

ZACNIEWSKI y TERESA.

TERESA.

Nie wiem, czy potrafię wykonać wolą matki moiey; nie chciałabym, żeby WaćPan tęſknił ze mną.

ZACNIEWSKI.

Podobno ia powinienem mieć tę boiaźń; wiem, wiem, że piękną Tereſę to tylko bawi, co ią intereſſuie: ſłyſzałem o proiektach Jmci Pana Staroſty.

TERESA.

Jakież ſą? bo ia nie wiem o niczym.

ZACNIEWSKI.

Pani Cześnikowa ſwego kuzyna chce uczynić ſzczęśliwym; nie dziwuię ſię temu,



znać, że mu bardzo dobrze życzy, y dała to poznać nawet ludziom mnie nieznaiomym, że ieſt pewna ſwego ułożenia.

TERESA.

WMPan dawny moiey matki y moy przyiaciel, czy życzyſz mi tego?

ZACNIEWSKI.

Nie doſyć znam człowieka; zbyt mnie intereſſuie los Tereſy, radbym w tym wiedział ſamey WaćPanny Dobrodziki zdanie, ktore zawſze doſkonałe znałem.

TERESA.

W podobnych przypadkach więcey trzeba przyiaciołom wierzyć, iak ſobie; bo raz zbłądziwſzy, trudno naprawić loſu: ia mam WaćPana za nayżyczliwſzego przyiaciela, y bardzo chętnie za iego zdaniem poydę.

ZACNIEWSKI.

A gdyby też ten przyiaciel, na ktorego zdaniu WaćPanna Dobrodzika chceſz polegać, lepiey ſobie życząc, iak drugim, za ſobą mowił? to oczywiſte niebeſpieczeńſtwo dla WaćPanny Dobrodziki.



TERESA.

Zbyt przyzwyczaiona iestem do dobrych rad tego przyiaciela, z ktorym mowię, żebym się wzdrygała podobnego od niego oświadczenia.

ZACNIEWSKI.

Czyż mogę temu ufać, co mowisz, śliczna Tereso? —

TERESA.

Możesz WaćPan, y powinieneś, ieżeli mnie znasz. —

ZACNIEWSKI *całuiąc ią w rękę.*

Ah! zbyt szczęśliwa otwiera mi się nadzieia!

SCENA VI.

STAROSTA *zamyślony, y dawni.*

TERESA.

Coż ia to widzę! moy oyciec pomieszany, smutny — Coż WaćPanu Dobrodzieiowi? *całuie oyca w rękę.* Niechże wiem,



co za przyczyna tego smutku; WaćPan Dobrodziey powracasz z zabaw wesołych.

STAROSTA.

Dałem ia sobie z zabawami!

TERESA.

Ale coż przecie?

ZACNIEWSKI.

Jeżeli można WaćPanu Dobrodzieiowi być w czym zdatnym, chętnie przyimę na siebie obowiązek.

STAROSTA *do Teresy.*

Nie możnaby się tego gościa pozbyć, bo mam z tobą do mowienia.

TERESA.

Prawda, że Jegomość Pan Zacniewski dawny domu naszego przyiaciel, nie masz przyczyny, żeby się go strzedz; ale kiedy taka wola oycowska, wiem, że chętnie ustąpi. *Do Pana Zacniewskiego.* Proszę WaćPana, żebyś mi pozwolił z moim oycem w osobności pomowić.



ZACNIEWSKI.

Jeżeli nie mogę być tak ſzczęśliwy, żebym ſię zdał na co Jegomości Dobrodzieiowi, poſłuſzeńſtwo przynaymniey niech będzie dowodem, iak pragnę ſpokoynośći iego.

SCENA VII.

STAROSTA y TERESA.

STAROSTA.

Czy wieſz, moia Tereſo, o nieſzczęściu moim? zruynowany zupełnie ieſtem.

TERESA *z łzami, całuiąc rękę oyca.*

Czuię nieſzczęście, ale kiedy mi wraca ufność oyca, nie ieſt ten los bez nadziei.

STAROSTA.

Cała moia nadzieia w tobie, kochana Tereſo; ośmieliłem ſię przyrzec cię za żonę człowiekowi, ktorego przyiaciele obiecali mnie na iakiś czas wyrwać z tey nieſpokoyności; muſiałem to uczynić, — wybacz.

TERESA.

Chętnie z ſiebie uczyniłabym ofiarę dla uwolnienia z troſkow oyca mego; — ale —



STAROSTA.

Wybacz Tereſo, nie maſz tu żadnego ale; trzeba tu dziś wziąść tę rozmyślność, nie maſz czaſu do tracenia, chyba zechceſz hańby moiey.

TERESA.

Niech mi ſię godzi wiedzieć przynaymniey, komu przeznaczona ieſtem: wſzak wielu, rozumiem, znalazłoby ſię przyiacioł, chcących tę uſługę uczynić oycu memu, ktory tak był zawſze wylany dla przyiaźni. —

STAROSTA.

Wiele takich przyiacioł! — wiele takich przyiacioł! — ah! corko moia! nie znaſz ludzi.

TERESA.

Może nie znam tych, ktorzy tylko w dobrym loſie otaczali WaćPana Dobrodzieia, ale znam takich, ktorzyby go w nieſzczęściu mogli pocieſzyć.

STAROSTA.

Nie mam ia żadney inney nadziei, tylko w Cześnikowy; ta kobieta przez rozum



wſparła mnie do iakiego czaſu; przez nię dziś pozbędę naygwałtownieyſzego dłużnika; ale muſiałem przyrzec, że cię wydam za iey kuzyna: coż tedy woliſz, czy mnie widzieć nieſzczęśliwym, czy ſzczęśliwym przynaymniey na iaki czas ieſzcze?

TERESA.

Wybacz mi, oycze, ale w tym ſzczęściu, ktore ſobie obiecuieſz, nic gruntownieyſzego nie widzę; ieſt to tylko na iakąś chwilę oddalić, a może potym zwiękſzyć umartwienie: gdybym zaś y ia nieſzczęśliwą z tey przyczyny była, takbym zoſtała na całe życie, y ufam w dobroci oyca mego, żeby na to cierpiał. —

STAROSTA.

Ale za coż nieſzczęśliwą? czy to ten mąż, czy inny; teraz nie trzeba przebierać, a interes mi ułatwiſz. —

TERESA.

Ja w mężu przyiaciela potrzebuię: co ſię tycze intereſſu, nie ſpodziewam ſię, żeby y mnie y oyca mego do tey oſtateczności przymuſił; wiele ufności pokładam w matce moiey.

STA-



STAROSTA.

Ja iuż twoiey matce nie wſpomnę o niczym: wſtydzę ſię błędow moich; tak byłem ſzczęśliwy przez nię, a tak mało umiałem być wdzięczen.

SCENA VIII.

MICHAŁ *y dawni.*

MICHAŁ *prędko wpada.*

Mości Dobrodzieiu! ten nieſzczęśliwy ſubdelegat z woźnym chcą tu wniść gwałtem do domu; ſpotkali ſię z Panem Zacnieſkim, y umawia ſię z niemi, on ich chce prowadzić do ſiebie — ręczy za wſzyſtko, ale oni mu nie wierzą. — Wielkie ſię tam hiſtorye dzieią w bramie. *Tu ſłychać hałas w bramie.*

STAROSTA.

Proś tu Jegomości Pana Zacniewſkiego; nie chcę, żeby ſię prożno wyſtawiał na nanie chcę, żeby ſię prożno wyſtawiał na napaść: powiedz tym ludziom, że ia ſam zaraz do nich wynidę, że pieniądze będą, weksle zapłacę, czekam tylko na Panią Cześnikową, kilka minut wſzyſtko zrobi; biegay



prędko, a naybardziey o to proſzę, żeby moia żona nie wiedziała. *Michał odchodzi.*

STAROSTA *do Tereſy.*

Widziſz, moia Tereſo, że to nie żart; przykroby ci podobno było widzieć mnie oſławionego za bankruta: namyśl ſię, poki ieſzcze czas, bo Cześnikowa zaraz tu będzie z pieniędzmi, a zapewne ich nie da, ieżelibyś miała być przeciwna memu ułożeniu.

TERESA.

Widzę ia to, że daleko zaſzły obowiązki, ale śmiem ufać ieſzcze; nie łatwa ieſtem do rozpaczy. Matka moia przyzwyczaiła mnie do tak iaſnego naywiękſzych trudności rozwiązania, że iey rada wſzyſtko mi obiecuie: poydę do niey, y ſpodziewam ſię wkrotce tu z pomyślnieyſzą wrocić wiadomością. *odchodzi.* Ufność w tak dobrey matce naypewnieyſzą w troſkach pociechą.

SCENA IX.

STAROSTA *ſam.*

Nie wierzę ia temu; tu gotowych pieniędzy potrzeba, nie rady moiey żony: iuż to dziś nierychło ufać bez żadney ufności przyczyny; tylko iedna Cześnikowa z ſwoim przyiacielem może mnie wydźwignąć; prawda, że lichwa okrutna, ale coż czynić? iużże kiedy potrzeba, nie można nic uważać. Naybardziey ſię boię, żeby moia corka nie popſuła roboty, nie śmiem iey przymuſzać, nic mi nie winna, tylko życie, a życie nie ieſt naywiękſzy dar oyca, ieżeli uſzczęśliwienie tego życia od niego zaniedbane; wſzyſtko winna matce, y iam iey tak wiele winien.



SCENA X.

ZACNIEWSKI y STAROSTA.

ZACNIEWSKI *wpada z nieſpokoynością.*

Ah! Mości Dobrodzieiu! czemuż też WaćPan Dobrodziey nie przeſtrzegłeś domowego przyiaciela ſwego, że maſz intereſa potrzebuiące ułatwienia? wſzak powinieneś wiedzieć iak mi ſpokoyność tego domu ieſt miła. — Przypadkiem ſpotkałem ſię z ludźmi zeſłanemi na zgwałcenie tey cichey ſzczęśliwości, ktorey tu zawſze używałem;



dowiedziawſzy ſię od nich, po co idą, uproſiłem przecież moment czaſu, żebym mogł do mego domu doyść, y znaleść ſpoſob oddalenia napaści. Już WaćPan Dobrodziey możeſz być ſpokoyny. *Oddaie mu wexel.*

STAROSTA.

Co mowiſz, zacny przyiacielu? coż to ia widzę!

ZACNIEWSKI.

Nic WaćPan Dobrodziey nie widziſz, czegobyś ſam, widząc mnie w podobnym przypadku, nie uczynił.

STAROSTA.

Ale, iakże ia mogłem tyle przyiaźni zaſłużyć?

ZACNIEWSKI.

Czyż mnie WaćPan Dobrodziey nie ſądziſz godnym, żebym ci tę przyſługę uczynił?

STAROSTA.

Ale nie chcę być przyczyną zatrudnienia WaćPana.



ZACNIEWSKI.

To, co mam honor dziś mu dać, ieſt u mnie zawſze ſkładem przyiaźni, odmawiaiąc ſobie zbytnie wydatki bez wſzelkiey trudności, corocznie małą część dochodow odkładałem, by w potrzebie przyiaciołom moim mogła być zdatna: nigdy tey kaſſy inaczey nie używałem. — Nie krzywdzę ſam ſiebie, a te ſą nayſzczęśliwſze chwile życia moiego, kiedy ią mogę tak chętnie, iak dziś, ofiarować.

STAROSTA.

Ah! zacny przyiacielu! dziwiſz mnie, y poniżaſz: dopiero widzę, iak często nieſprawiedliwym byłem.

SCENA XI.

CZESNIKOWA, PUŁKOWNIKOWICZ, SUBDELEGATOWICZ, LUSTRATOROWICZ, REWIZOROWICZ, STAROSTA y ZACNIEWSKI.

CZEŚNIKOWA.

Przywiezłam WaćPanu to grono zacnych chłopcow, ſą to ofiary przykute do wſzyſtkich moich tryumfow; przywiezłam także

 

y tę pomoc intereſſom iego, ale nie uwierzyſz, z iaką mi to trudnością przyſzło, nie mogłam mego przyiaciela namowić z ſobą; a te meble, kareta, karabele, paſy, y ſol zaraz przywiozą. Znayże WaćPan przyiaźń moię, y podpiſz ten papier. *Daię mu wexel do podpiſania.*

Starosta *odbiera ten papier, y daie go Zacniewſkiemu do czytania.*

Będę wiedział, iak tę łaſkę Pani oſzacować. — Pozwoliſz WaćPani Dobrodzika, żeby moy przyiaciel przeczytał to piſmo, nim go podpiſzę. —

Zacniewſki czyta na boku.

Cześnikowa *mowi.*

Co? Pan Zacniewſki WaćPana przyiaciel? a to nowa rzecz dla mnie! y WaćPan ſię tak z ladaiakim przyiaźniſz? zawſześmy z ſobą bardzo zimno byli, iak zwyczaynie z proſtym ſzlachcicem. — Wiedziałam ia o tym, że go żona WaćPana cierpi w domu, y nie dziwowałam ſię temu? może on być dobry do iey ſzpichlerzowych zabaw, ale co po WaćPanu, tom ſię nigdy podobney podłości nie ſpodziewała; pfe, ſidą



Staroſto! ieſteś człowiek, *du grand mond*, a chceſz ſię podobnym związkiem oſmolić.

Rewizorowicz.

Y ia wyznaię, żem ſię tego nie ſpodziewał; wkrotce nie będzie z kim żyć w tey Warſzawie, ieżeli nam ſię ieſzcze Staroſta wda w takie kompanie.

Pułkownikowicz *na boku.*

Potrafię ia w to, że ten Jegomość nie długo będzie w domu, iak tylko Tereſa będzie moią.

Lustratorowicz *na boku.*

Bardzo ia ſię boię, żeby on dłużey w tym domu niezabawił, iak my; bo my żyiemy y bawiemy ſię bez żadnego celu, tylko żeby ſię bawić, a ten Jegomość z cicha podobno lepiey do ſwego celu wymierzył.

Subdelegatowicz *na boku.*

A gdzie! to flegmatyk; on ſię nigdy nie ożeni, on tylko chce być przyiacielem kobiet, a Tereſi czegoś więcey trzeba, iak przyiaźni.



STAROSTA *po długim zamyśleniu.*

Zbyt łatwo WaćPaństwo sądzicie o człowieku, ktorego żeby znać y oszacować, czego wart, trzeba wprzod z własnemi porachować się przymiotami, czy my iesteśmy warci, aby się taki człowiek stał naszym przyiacielem.

CZEŚNIKOWA.

A! to śliczny komplement! my nie warci Pana Zacniewskiego. — Ja sobie Cześnikowa; Ichmość wszyscy urzędnicy: ha, ha, ha, moy kochany Starosto, radotuiesz. —

STAROSTA.

Nie mowię do WaćPani Dobrodziki; dama iesteś, winniśmy ci respekt, ale sam siebie nie ochraniam, powtarzaiąc, że tyle, ile poznałem tego człowieka, to nie my iego przyiaźni unikać, ale on naszey mogłby sprawiedliwie.

CZEŚNIKOWA *ze wszystkiemi.*

Ha, ha, ha, ha! a moy Starosto, coż z ciebie za heretyk! ha, ha, ha! — Pokiż on będzie ten wexel przewracał? Mości



Panie hey! skończże WaćPan prędko, bo tu trzeba podpisać.

ZACNIEWSKI.

Ten dowod przyiaźni WaćPani Dobrodziki, dla Jegomości Pana Starosty, wart, żeby się nad nim zastanowić; iest nowy dla mnie.

CZEŚNIKOWA.

Wierzę, wierzę; nie tak zimni przyiaciele, iak WaćPan, mogą poiąć gorącość przyiaźni moiey dla Starosty.

ZACNIEWSKI *z ukłonem.*

Może to być; ale ten przyiaciel, ktorego tu wexel widzę, musi być naywiększy lichwiarz na świecie: takich przyiacioł wiele maiąc, można z naylepszym losem wkrotce się rozstać.

CZEŚNIKOWA.

Coż to iest, Mospanie Starosto? w domu WaćPana moich przyiacioł będzie Jegomość osławiać? — chłopcy, do pałaszow! — za moy honor rozsiekać Jegomości.



Rewizorowicz, Pułkownikowicz, Subdelegatowicz y Luſtratorowicz, biorą ſię do broni razem.

ZACNIEWSKI.

Powoli, Mościwi Panowie; ten dom wart uſzanowania, ia ſię kupy nie boię, ale proſzę z ſobą na ulicę. *Chce wychodzić.*

CZEŚNIKOWA.

Przepraſzam, przepraſzam; ia Ichmościow na ulicę nie puſzczę, oni mi tylko do obrony ciała ſłużą: zawſze przy mnie chłopcy.

ZACNIEWSKI *wracaiąc ſię.*

Znaydę ia Ichmościow: nikt ſię na mnie nie porywał do broni bezkarnie.

CZEŚNIKOWA.

Coż ia to widzę? nową rzecz odkryłam, moy Staroſto, w tym twoim przyiacielu; on widzę burda, nie zna ſię na żartach.

REWIZOROWICZ, PUŁKOWNIKOWICZ, SUBDELEGATOWICZ y LUSTRATOROWICZ,

My tylko żartowali, a Jegomość ſię zaraz uraża. —



STAROSTA.

Nie życzę WaćPanom więcey tak żartować z ſłuſznemi ludźmi; bo przepuſzczenie iego was krzywdzi, a ſkutek żartow może was daleko zaprowadzić.

CZEŚNIKOWA.

Ale, moy Staroſto, iuż kończmy iedno, podpiſz WaćPan ten papier, a iak żona WaćPana przyidzie z Tereſą, to ſkończemy drugie z moim kuzynem. — Mości Panie Zacniewſki, dayże WaćPan ten papier Staroście; iuż ſię nie gniewaj, moy Zacnieſiu, ia tylko z moiemi chłopcami żartowała; wſzak widziałeś, że nie bardzo porywczy; a WaćPan zaraz w paſyą wpadaſz: pfe! Zacnieſiu.

ZACNIEWSKI.

Ja dla damy zawſze ieſtem z uſzanowaniem. *Kłania ſię iey niſko.* Ale na dowod tego, że nigdy nie pozwolę, żeby Jegomość Pan Staroſta ten ſzkaradny dekret na własny los podpiſał, rozdzieram go. *Tu Zacniewſki wexel na drobne papierki rozdziera.*



CZEŚNIKOWA.

Ah gwałtu! słabo mi: Kolońskiey wodki, balsamu vitæ — lodekarmu. —

ZACNIEWSKI *przystawia stołka Cześnikowy.*

Siąć WaćPani Dobrodzika, będzie wygodniey omdlewać.

CZEŚNIKOWA.

Dobrze ci tak, Mości Panie Starosto; patrzay, iakiegoś wybrał przyiaciela, cały interes zepsuł.

STAROSTA.

Pierwey go naprawił; y postępek iego nie zdziwił mnie, bo go znam, ale mnie oświecił. *Pokazuie wexel zapłacony.*

SCENA XII.

STAROŚCINA, TERESA, *y dawni.*

CZEŚNIKOWA.

A! chwała Bogu, że Starościna idzie: ieżeli się iedna kategorya nie udała, to przynaymniey druga. — Witam moią Panią



serdeczną. — *Starościna y Teresa kłaniaią się z skromnością.*

STAROŚCINA *mowi.*

Przepraszam, żem nie wiedziała o przybyciu WaćPani, byłam zatrudniona: — moy mężu, za coż mnie WaćPan nie kazałeś zawołać; miło mi, kiedy WaćPana widzę w domu.

STAROSTA *całuiąc żonę w rękę.*

Rozumiałem, że Teresa wzięła to na siebie.

CZEŚNIKOWA.

Ja, iako przyiaciołka Starosty, chciałam mu usłużyć w interessach, ale widzę uprzedzona iestem: przynaymniey spodziewam się, że kochany Starosta nie cofnie słowa swego dla mego kuzyna, wszak to między nami nie trzeba wielkich ceremonii. —

STAROŚCINA.

Coż za przysługa, o ktorey Jeymość Pani Cześnikowa wspomina? moy mężu, spodziewam się, że przynaymniey w domowych zatrudnieniach mnie dasz pierwszość do uczynienia ci przysługi.



STAROSTA *ſkazuiąc Zacniewſkiego.*

Nie dał mi czaſu ten zacny przyiaciel y wſpomnieć WaćPani o moich kłopotach; nie dał mi czaſu nawet tey uwagi uczynić, iak wiele traciłem, oddalaiąc ſię od iedyney ſpołeczności, ktora mnie mogła uſzczęśliwić. — Wſzyſtko zaſpokoił: oto wexel.

STAROŚCINA.

Znayże, moy mężu kochany, co to za przyiaciel!

CZEŚNIKOWA *do ludzi.*

Jakże ta Starościna piwowarſkim tonem mowi: wſzyſtko, moy mężu, moy mężu; za co nie Monſieur: widzę y on wkrotce nauczy ſię mowić: moia żono, moia kochana żono: coż, to za ton paſkudny y nienaturalny!

ZACNIEWSKI *do Staroſty.*

Jeźli mi WaćPan Dobrodziey chceſz uczynić łaſkę, to więcey nie mow mi o tym.

STAROŚCINA.

Ja nie ieſtem mniey wdzięczna Jmci Panu Zacniewſkiemu, aleby mi krzywdę uczynił, żeby nie odſtąpił dla moiey przyiaźni tey uczynności, ktorą odemnie tylko przyzwoicie mąż przyiąć może. — Jeżeli co potrafi mi nadgrodzić, dobrze. — Rozrządzenie intrat, ktorych mi uſtąpił; to gdy te dochody, bez ktorych ſię obeyść mogłam, pomogą intereſſom iego. — Mości Panie Zacniewſki, oddaię WaćPanu kluczyk od ſzkatuły moiey, w ktorey znaydzieſz ſummę tak przykładnie dla przyiaźni użytą. Zebym cię zaś, kochany mężu, na zawſze ſpokoynym uczyniła, oddaię ci tu dzieſięć wexlow innych dawniey zapłaconych, ktoremi nawet ci Ichmość, co ſię twemi przyiaciołmi nazywaią, chcieli ci ſzkodzić: nie wymawiayże mi teraz, ieżeli, w oſobności żyiąc, uczyniłam powinność moią.



STAROSTA.

Tak nieſpodziewana, bo niezaſłużona ſzczęśliwość przewyżſza wſzyſtkie nadzieie moie.

ZACNIEWSKI *do Tereſy.*

Co to za matka! co to za żona!



TERESA *całuiąc w rękę matkę.*

Co to za nauka dla mnie!

CZEŚNIKOWA.

Ale moie Państwo, nic mi nie odpowiedacie na moie wniesienia: moy kuzyn radby wiedzieć ich wolą.

STAROSTA.

Ja nic nie obiecałem, coby mogło corkę moię zrobić nieszczęśliwą; ale te wexle, ktore z rąk moiey żony odbieram, są znaiome WaćPani, y tym Ichmościom widzę: im było pilno korzystać z mego nieszczęścia; żebym zaś WaćPanią y Ichmościow uspokoił, zostawiam moiey corce wolność wybrać, ktory z przytomnych tu wart być iey matki zięciem, y iey mężem. — Tereso, powiedz swoie zdanie.

TERESA *zbliżaiąc się do Zacniewskiego, y daie mu rękę.*

Nie zamyślam się nawet nad tym; cnota y wdzięczność temu ią ziednała, y iuż dawno obiecała wyborem.

STARO-



STAROSTA *do Zacniewskiego.*

Ah przyiacielu! czemużeś mi się nie zwierzył?

ZACNIEWSKI.

O tak wielkim uszczęśliwieniu zawsze powątpiwać skromność każe.

CZEŚNIKOWA.

Otoż masz! te sceny patetyczne, wcale nie w swoim czasie. — Poydźcie chłopcy; nie ma tu co robić między temi Ichmościami. Mości Panie Starosto, wpadniesz Wać Pan ieszcze w moie sidła: nie tacy to do mnie się wracali! znam ia, iak długo te sentymenta trwaią. — Adieu, wierny mężu, y wierna żono. — Kłaniam Mościa Panno Tereso, żałuię cię, że nie poznasz świata: szkoda tych oczu! nie dla iednego męża się urodziły.

PUŁKOWNIKOWICZ.

Widzę z nas zażartowali nieszpetnie; iam iuż kazał trzy stoły do faraona zrobić, y dwa do kwindeczy, y kart w fabryce na cztery lata obsztalowałem takich, iak mi potrzeba.



CZEŚNIKOWA.

Podźmy chłopcy do Saſkiego ogrodu, tam kapela brzmi; prędko ſię ukonſuluiemy w ulicy wzdychaiących.

MICHAŁ *wyprowadzaiąc tych gości do drzwi, mowi:*

Szczęśliwa droga, na raki y na lody.

SCENA XIII.

STAROSTA, STAROŚCINA, TERESA, ZACNIEWSKI, MICHAŁ y LUIZA.

STAROŚCINA.

Kochany mężu! ieżeli cię to nie bawi zoſtać z nami na wieczerzy, czyń, co chceſz; ale ieżeli zoſtanieſz, miło mi będzie ten dzień uſzczęśliwienia moiey kochaney Tereſy ſtrawić z tobą. —

STAROSTA.

Już mnie maſz zupełnie za ſwego, kochana żono. — Tłok ſowizdrzałow wciągnął mnie w to nudne prużniakow życie, ktore nazywali zabawą; wplątali mnie w złe intereſa, y muſiałem ſię iuż prawie w ro-



ſpaczy powodować: ale ieżeli mi pozwoliſz wrocić do domowey ſzczęśliwości, y ieżeli ten zacny przyiaciel, zoſtawſzy zięciem naſzym, będzie żył z nami, y my z Tereſą; — ożyię z waſzey łaſki, y nazawſze ſię wyrzekam nudnego bez celu pod imieniem zabaw życia.

MICHAŁ.

A Wielmożny Panie, kiedy cię iuż Bog nawrocił, coż też przecie za życie będziemy prowadzić? — Jeżeli ſię Pan będzie ieſzcze bawić, od Saſkiego ogroda do Łazienek, od Łazienek, do Wilanowa, od Wilanowa, do Woli, codziennie ieżdżąc, toć ia muſzę o żonie zapomnieć; bo kiedyżbym miał czas być iey mężem? a iabym też przecie dla ſiebie rad mieć żonę, nie dla drugich: ieżeli zaś ſpokoyne życie zaczniemy, tobym y ia przecie przy protekcyi Pańſkiey o Luizie pomyślał, lubo ona częſto wſpomina Pana Łukaſza; iednak w niebytności Jegomości, dobry y Pan Podſtarości.

STAROSTA.

Y ty, poczciwy Michale, wieleś mi pomogł do wybrnienia z kłopotow. Luizo!

 

maſz dobrego człowieka, daſz ſię podobno namowić; ia o poſagu pomyślę.

Luiza.

A iużci, Mości Dobrodzieiu, żeby mnie nie było tęſkno; Pan Łukaſz czy ſię wroci, czy nie wroci: day rękę Panie Michale.

Starościna.

Niech y oni będą ſzczęśliwi: ten dzień, ktory mi w mężu wraca, a w zięciu daie przyiaciela, powinny czuć wſzyſtkie ſerca tkliwe na głos cnoty.



